Nr. 50. Warszawa, dnia 16 (4) Grudnia 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2.** k. **50**, rocznie rs. **10.**

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Od Redakcyi.

Przyjaciołom ***Prawdy****, którzy jej przyjaciołmi nadal pozostać pragną, przypominamy nadchodzący termin noworocznej przedpłaty. Wczesne nadesłanie jej jest dla nas bardzo pożądanem ze względu na możność określenia nakładu. Ponieważ dzieło Huxleya zostało w oryginale ukończone, więc w dodatku bieżącym wyjdzie dalszy ciąg* ***Zasad fizyologii****, której poprzednie (22) arkusze abonentom naszym, nieposiadającym ich, odstępujemy za rs. 1, a z przesyłką pocztową rs. 1 kop. 15. W roku przyszłym wychodzić będzie dalej* ***Historya filozofii nowożytnej****. Nowi prenumeratorzy, zgłaszający się bezpośrednio do naszej Administracyi, mogą na żądanie otrzymać wydrukowane dotąd arkusze tego dzieła za kop. 50, z przesyłką kop. 60.*

POLITYKA.

ZAMACH W IZBIE FRANCUSKIEJ.

Gdy tu i owdzie pękły bomby, rzucone furyacką ręką anarchistów, można było przypuszczać, że ci zbawiciele ludzkości nie poprzestaną na dokonanych zbrodniach, lecz zechcą świat poprawiać, czy karać dalej. Nikt wszakże nie spodziewał się, że uczynią to tak prędko, tak zuchwale i tak niegodziwie. Jakiś obłąkaniec nazwiskiem Vaillant, który zanim ujął w swe ręce miecz pomsty, przedtem opróżniał cudze kieszenie i musiał za to pokutować w więzieniu, rzucił bombę z galeryi we francuskiej Izbie deputowanych. Jak zeznał, chodziło mu tylko o zabicie prezesa, p. Dupuy; bomba jednak trąciwszy w przelocie o gzems, pękła w powietrzu a odłamami i gwoździami, którymi była nabita, zraniła wielu deputowanych i widzów na galeryach a jemu samemu oderwała kawał nosa. Jedynie więc przypadkowi zawdzięczać należy ten skromny stosunkowo rezultat. Gdyby bowiem bomba była pękła na dole śród kilkuset ludzi, z pewnością zasłałaby salę trupami. Najbardziej ucierpieli członkowie prawicy i grupy radykalnej, z początku nawet przypuszczano, że niektórzy z nich nie żyją. Rannych bądź odwieziono do domów i poblizkich szpitalów, bądź umieszczano ich w pałacu Burbonów. W pierwszej chwili ogarnął obecnych popłoch — zaczęli krzyczeć i cisnąć się do wyjść. Prezydujący wszakże zimną krwią tak szybko i skutecznie zapobiegł zwykle fatalnemu w skutkach zamieszaniu, że Izba, ochłonąwszy z wstrząśnienia, przystąpiła w dalszym ciągu do rozpraw.

Sprawca zamachu usiłował uciec: znalazłszy wszystkia wyjścia osaczone strażą, chciał wydobyć się przez stłuczone drzwi szklane, ale go zatrzymano. W zaaresztowanych wraz z nim osobistościach podejrzanych odkryto już paru jego wspólników a przynajmniej współwyznawców. Nieszczęsnej sławy bohater jest z zawodu robotnikiem białoskórniczym a ze sprawiedliwością ściera się nie po raz pierwszy, gdyż był już pięciokrotnie karany za kradzieże. Przebywał w Ameryce, coś robił w redakcyi dziennika *Cri du peuple*, uorganizował podobno jakieś „towarzystwo filozofów niezależnych,“ w którem miewali odczyty także ludzie poważni. Już z zebranych dotychczas szczegółów bijograficznych widać, że jest to osobnik zwyrodniały, przypominający ów typ chorobliwy, jaki dość często spotykamy w szeregach anarchizmu. Jego zasadnicze właściwości odnaleźć łatwo zarówno w aktach sądu, jak w aktach nauki. Albo samo dziedzictwo, albo życie wywołuje w jego organizmie głębokie zaburzenia psychiczne. Nienawidzi wszelkiego porządku, ładu, ustroju, praw, więc nazywa się anarchistą i pragnie burzyć to, co istnieje. Ta żądza sprawia mu złudzenie, że jest reformatorem, chociaż uwagi jego nie pochłania myśl o jakimś idealnym stanie życia zbiorowego, lecz o zniszczeniu stosunków obecnych. Jako nieprzyjaciel obowiązującej etyki i ustaw, bardzo łatwo zaciera sobie w czynach granicę między ofiarą a zwyczajną zbrodnią. Dziś będzie w jakiemś waryackiem piśmidle rozprawiał o uszczęśliwieniu ludzkości, a jutro wyciągnie przechodniowi portmonetkę z kieszeni; dziś wystąpi jako apostoł, a jutro jako rzezimieszek. Daremnie byśmy sprzeczności takiej zwichrzonej natury chcieli wiązać logiczną konsekwencyą; jeżeli ona bowiem posiada jakąś prawidłowość, to tylko prawidłowość ruchu cząsteczek materyi we wszelkich organizmach. Po za tem widzimy tylko obłędne miotanie się, konwulsye duszy zbrodniczo chorej, której nikt obliczyć nie zdoła, chociaż każdy przewiduje ogólnie jej niszczący fatalizm. Takim jest ów Vaillant, bo taką jest większość furyatów anarchizmu.

Pod wrażeniem okropnego zamachu Izba francuska nie odłożyła sprawy do chwili odzyskania równowagi umysłowej, lecz uchwaliła nazajutrz środki obronne i zapobiegawcze przeciwko wrogowi społeczeństwa. Rząd otrzymał od niej nowe pełnomocnictwa i przepisy, którymi będzie mógł ścigać i karać nietylko występne czyny, ale nawet poduszczanie. Te ostatnie używały dotychczas bezkarności głównie w prasie anarchistycznej, która otwarcie zachęcała do przedsięwzięć dynamitowych. Nie jest to już walka rządu z rewolucyą, ale walka społeczeństwa z furyą zbrodniczą.

Rzecz naturalna, że po tym wypadku odezwał się znowu projekt połączenia wszystkich państw europejskich przeciw anarchistom. Właściwie jednak łączność ta faktycznie istnieje, gdyż żadne państwo ich nie toleruje. Jedna może tylko Anglia okazuje dla nich największą pobłażliwość, chociaż również ich karze za występki na gruncie własnym. Zaledwie potrzebujemy dodawać, że ostatnia bomba, jak wszystkie poprzednie, sprowadzi ten jedynie skutek, iż kierunek wewnętrznej polityki francuskiej odchyli się bardziej w stronę konserwatyzmu.

Z NIEMIEC.

Berlin, 10 grudnia.

Nowe podatki.

Od kilku już miesięcy, przez całkowity czas feryj parlamentarnych, toczyła się wojna podjazdowa prasy niemieckiej przeciw widmu nowych podatków. Faktem było, że potrzeba nowych stu milionów; przebąkiwano w sferach ministeryalnych i dziennikach urzędowych o tych mianowicie „okolicach" organizmu narodowego, na które pompka ssąco-tłocząca ministra Miquela skierowana być miała: odbijało się to echem protestu w prasie różnych odcieni, zawodowej i radykalnej; zdarzały się drobne utarczki, które z akcyą dziś już rozpoczętą porównania nie wytrzymują. Widmo stało się faktem dokonanym, a zamiast głuchych wieści mamy „Memoryał w sprawie zmian w urządzeniu finansów państwowych." Zmienił się też charakter opozycyi: z podjazdowej, partyzanckiej staje się wojną regularną, świadomą, wojną Moltkego.

„Memoryał" rozpatruje trzy zamierzone nowele podatkowe (stemplowy na wino i tytoń) oraz zajmuje się uregulowaniem stosunku do pojedynczych państw związkowych. Podatek stemplowy zwiększa loteryjny, zdwaja giełdowy, stwarza nowy od pokwitowań, rachunków i frachtów. Podatek na wino znały dotychczas tylko pojedyncze państwa związkowe i gminy— nie znało go atoli państwo niemieckie. Obecnie ma być pobierany w chwili, kiedy wino przechodzi z produkcyi wielkiej do drobnego handlarza albo w ręce spożywcy, w procentach i w stosunku prostym do wartości, przyczem najniższe gatunki byłyby od niego zupełnie wolne. I dawne jednak dochody gminne pozostaną w mocy, z tą tylko różnicą, że nie będą przewyższały $^1/_5$ podatku państwowego. Tytoń podlega obecnie cłu przywozowemu oraz podatkowi na uprawę tej rośliny w ilości 45 marek od 100 kilo; ten ostatni zostaje zniesiony, natomiast pierwszy wynosić będzie dla tytoniu 40 marek, dla cygar 400, dla papierosów 250 m. W zamian proponowany jest inny, a mianowicie podatek na fabrykat z tytoniu (jak w Rosyi), który przy cygarach wyniesie $33^1/_3$% ceny sprzedażnej, przy innych rodzajach 50—$60^2/_3$% i uiszczanym być musi w chwili, kiedy opuszcza fabrykę. Zagraniczne wyroby opłacać go będą w połączeniu z cłem.

Pierwszy szkopuł, który się rzuca w oczy przy spokojnem rozpatrzeniu tego jadłospisu, świadczącego przedewszystkiem o dobrym apetycie p. Miquela, jest jego obfitość, różnorodność źródeł, z jakich płynąć ma napój „złoty" w zawsze rozwartą paszczę militaryzmu. „Cóż właściwie—pyta jeden poważny krytyk reformy finansowej — zdarzyło się, ażeby w tak bezlitosny sposób wdzierać się do każdej szczeliny życia prywatnego? Jeżeli nieprzyjaciel stoi pod bramami, jeżeli rzeczywiste bankructwo finansowe grozi państwu, wtedy to ostatnie może śmiało sięgać do takich środków i być pewnem, że obywatele chętnie kabzy swe wypróżnią. Aleć od czasów najazdu Napoleońskiego w początku stulecia — historya podatków nie miała i nie ma do zanotowania nic podobnego." To jest głos spokojny, głos uczonego, osobiście wcale niezainteresowanego, starającego się (o ile to jest możebnem wogóle) patrzeć na rzeczy trzeźwo. Oczywiście interesowani — wytwórcy, najmici i spożywcy, zabarwiają swą krytykę silniej, a przedewszystkiem, nie czekając wcale rozprawy parlamentarnej, agitują już obecnie we wszelkich możliwych i dozwolonych kierunkach, ażeby żądaniom swym nadać znaczenie realne. Przez cały tydzień obradował w Berlinie zjazd przedstawicieli związków zawodowych robotniczych, z tych mianowicie okolic Niemiec, które żyją z uprawy i fabrykacyi tytoniu, następnie zebrał się wiec fabrykantów, a po wszystkich dystrybucyach gromadzą podpisy spożywców, ażeby poprzeć nimi petycyę do kanclerza dla zaniechania zamierzonego podatku. Obliczają, że wskutek podniesienia się ceny najniższy, a wskutek tego najwięcej używany gatunek cygar (4-o fenigowy) zniknie zupełnie, przyczem część wyrabianych droższych gatunków zabierze dawnych spożywców — część jednak dotychczasowej produkcyi przepadnie. Innemi słowy, 50—60 tysięcy robotników zostanie bez chleba, co przy ogólnej stagnacyi ekonomicznej i finansowej zaważy znacznie na szali powszechnego niezadowolenia. Nadto wprowadzony świeżo podatek na tytoń połączony będzie z takimi kosztami w urządzeniu fabryki, że tylko wielki przemysł zdoła wytrzymać przełom, jaki bezwarunkowo nastąpić musi. Tymczasem znaczna część produkcyi tytoniowej spoczywa w rękach drobnego przemysłu, który z zupełną świadomością przepowiada sobie ustami swych przedstawicieli śmierć niechybną. W odpowiedzi na żądane podatki — ofiarowano dochody z innego, mniej boleśnie raniącego naród źródła, przedewszystkiem przypomniano (docent Jastrow) niepobrany dotychczas podatek spirytusowy, wynoszący dzisiaj 40 milionów i darowany w swoim czasie gorzelnikom pruskim. Ten tak zwany „dar miłośny dla gorzelników" (Liebesgabe an die Branntweinbrenner) ofiarowany był ludziom bogatym (więksi właściciele ziemscy, junkrzy itp.) — dziś, kiedy podatki pośrednie obarczyć mają przedewszystkiem klasy biedniejsze, powinien być cofnięty.

Zen. Por.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Spełniły się we Włoszech dwa fakty nieprawdopodobne: utworzone zostało jedno ministeryum, które wcale nie wystąpiło na widok publiczny i powstało drugie, którego przewodnictwo objął człowiek, uznany za zupełnie zużytego. Pierwszą dość smutną chwałą okrył się Zanardelli, który po upadku gabinetu Giolittiego powołany został do rządów, zebrał ministrów i w chwili, gdy był gotów do występu z nimi, oświadczono mu, że nie budzi zaufania. Nie przypominamy sobie podobnego wypadku w dziejach konstytucyonalizmu. Że rozmaici „premierzy" otrzymują misyę sklejenia gabinetu, że nie spełniają jej bądź skutkiem trudności w dobraniu odpowiednich ludzi, bądź skutkiem niemożności zyskania na nich zgody panującego lub prezydenta — to się zdarza. Ale żeby ktoś zebrał sobie komplet ministrów i wyjednał dla nich potwierdzenie monarchy i po tem wszystkiem musiał

---

6)

MINĘŁO...

STUDYUM.

Przyroda rozwinęła się już w całej pełni. Kasztany i lipy zieleniały wzdłuż szerokich, widnych alei zamiejskich. Bzy w parku pełno miały pąków. Fijołki więdły pod liśćmi wybujałej trawy, natomiast narcyzy wysuwały z ziemi smutne, pochylone, białe główki. W powietrzu drgały szmery i szepty przebudzenia. Niebo promieniało barwami tęczy: purpurowe na zachodzie, seledynowe od wschodu, a dalej ciemno-fioletowe i żółtawo-różowe, zwiastowało zmierzch blizki. Pogodna noc wiosenna drgała na skrajach horyzontu: niknący dzień witał je salwą purpury, złota, seledynu.

Wanda od godziny wróciła ze spaceru. Czuła się dziś silniejszą, aniżeli kiedykolwiek. W umyśle jej, dotąd leniwym, biernym powstał ruch lekki. Doznawała wrażenia człowieka, któremu ściągano z przed oczów powoli zwoje szarej gazy, zasłaniającej kontury przedmiotów jednolitym martwym kolorytem. Pojęcia i obrazy chaotyczne, nieuporządkowane, bezbarwne, wypierały dotychczasowe uparte i dręczące widziadła mózgu. Nie rozumiejąc tej zmiany w sobie, z pewną rozkoszą poddawała się jej: bezwiednie witała w niej zwiastunkę wracającego zdrowia. Istota jej poczęła wibrować, jak delikatne blaszki metalu, trącone pokrewnym dźwiękiem kamertonu; pogoda, wiosna, niebo pełne blasków budziły ją do życia.

Jeden obraz, wyłaniający się zwolna z osłon pamięci, rysował się przed nią coraz wyraźniej, usuwając w głąb inne.

Dawno już, dawno — nie wiedziała, ile lat temu: straciła pojęcie miary czasu — niebo było tak samo pełne blasków, barwa pomarańczowo-fioletowa zalewała skraj horyzontu. Ona jechała wtedy konno, stępa, wpatrzona w grę zachodzącego słońca, w żółty piasek, rozpryskujący się drobnym pyłem pod kopytami gniadej klaczy. Ktoś jechał obok niej wówczas, ktoś pochylił się ku niej, pocałował ją w usta...

Zerwała się z krzesła — wspomnienie zelektryzowało ją: nie mogła powiązać w całość splątanych jego nici, nie była w stanie uchwycić głównego wątku. Zmęczona padła na fotel i przymrużywszy oczy, poddała się już bezwiednie ruchowi myśli swoich, nie śledząc ich świadomie. Myśli te powstawały, kojarzyły się, rosły, malały i nikły stopniowo, nie zarysowując wyraźnie konturów swoich. Podobne do szarych, blaskiem słońca obramowanych obłoków, niesformowane, mgliste, jak one, roztapiały się w próżni. Trudno było uchwycić bieg ich, trudno określić charakter. To smutne smutkiem, który nie bolał, to pogodne i wesołe, podnosiły pierś tętnem słabej podniety, połączonej z wrażeniem nieokreślonej słodyczy. W łagodnem tem przebudzeniu się ich czuła po swojemu czuciem istoty, wracającej do życia z długiego letargu. Po godzinie zadumy wstała z miejsca: czegoś jej brakowało, oglądała się za czemś niecierpliwie, nie rozumiejąc sama siebie, ani pragnień, nurtujących jej piersi i tego lekkiego niepokoju, opanowywującego ją zwolna.

Wstała, przeszła przez pokój kilkakrotnie.

Rozglądając się dokoła, spostrzegła gazetę, leżącą na małym, okrągłym stoliku pod oknem. Machinalnie wzięła ją w rękę, machinalnie rozłożyła ją, jak do czytania; uśmiechała się przytem sama do siebie; tak dziwnemi były dla niej czarne,

ich rozpuścić i sam „przejść w stan spoczynku“ — o tem nie słyszeliśmy. To też jeżeli Zanardelli nie uznaje się grubo skompromitowanym i strawi uczyniony mu despekt — może się poszczycić... bezwrażliwością.

Drugą niespodzianką było powierzenie steru rządów Crispiemu. Ten „Bismark włoski,“ współtwórca, a przynajmniej orędownik troistego przymierza, uznany został, jak jego mistrz niemiecki, za pamiątkę historyczną, która w życiu bieżącem nie przyjmie żadnego czynnego udziału. Już nawet, godząc się ze swym losem, również na wzór swego mistrza, zaczął on tworzyć opozycyę. I oto wbrew wszelkim rachubom występuje na widownię. Jakkolwiek ten jego powrót do władzy nie był oczekiwanym, jest zrozumiałym. Naprzód Crispi, niezależnie od swych błędów i omyłek, jest obecnie we Włoszech największym talentem politycznym, nabierającym w oczach narodu tem wyższej wartości, że całe grono kandydatów do przewodnictwa w gabinecie składa się z mierzynów umysłowych, a ci, którzy próbowali dźwignąć ciężar nad siły, dowiedli tylko swojej niemocy. Powtóre położenie Włoch jest obecnie bardzo ciężkie, niemal rozpaczliwe, żaden więc nieudolny ochotnik nie zdoła ich wyprowadzić z kłopotów. Potrzecie, król żywił zawsze dla Crispiego szczególną sympatyę i żaden inny doradca korony nie mógł mu go zastąpić. Czy ten zbawca dokona cudu, którego Włochy pragną i wyczekują — to inna kwestya.

Sejm niemiecki pasuje się ciągle z trudnem zadaniem pogodzenia sprzeczności między chęcią podwyżki wojska i obawą zrujnowania narodu nowymi podatkami. Nad tym twardym orzechem pracują wszystkie zęby i zgryźć go nie mogą, zwłaszcza że między nimi leży drugi — traktaty handlowe, oburzające partyę rolną, dostarczającą rządowi głosów w przeprowadzeniu roformy wojskowo-podatkowej. Umowa z Rumunią już przeszła, ale zbliża się sprawa donioślejsza, która mocniej ściśnie serca „agrariuszów“ — układ z Rosyą, który podobno już dowlókł się do końca w pracach delegacyi.

Rząd hiszpański, który zawiesił kroki wojenne dla porozumienia się z sułtanem marokańskim, musiał polecić marszałkowi Martinezowi Camposowi wznowienie „energicznej akcyi.“ Jak owa akcya była energiczną — wiemy, a biedny marszałek podziękowałby niebu, gdyby mu oszczędzono tej sposobności zdobywania wawrzynów.

Między Austryą a Serbią stosunki naprężyły się mocno z powodu ograniczeń celnych tej ostatniej. Hr. Kalnoky ujrzał się nawet zmuszonym poczynić przedstawicielom Serbii ostre uwagi o nieprawidłowości postępowania.

Były prezes gabinetu serbskiego, Dokicz, umarł.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

Paul Hervieu, *Peints par eux-mêmes*. Paryż, 1893.

Zamiłowanie, które Hervieu, pochodzący z drobnego mieszczaństwa, żywi dla „wielkiego świata,“ było i jest wciąż przedmiotem śmiechu. Autor kładzie odpowiedź na chichoty krytyki, bądź zazdrosnej, bądź surowej, w list malarza Guy Marfaux do brata, który jest powieściopisarzem i także przedstawia salony, ale bardziej z fantazyi: „Kocham wielki świat, gdyż on stanowi rezultaty cywilizacyi najbardziej udoskonalonej... Prawdziwy salon, ależ ty się nawet nie domyślasz, co to jest, mój biedny wandalu, mój drogi ostrogocie, mój stary burgundzie! Naprzód salon jest miejscem cywilizacyi, z którego najbardziej wygnano wszystkie środki materyalne, zastosowane do zwierzęcości człowieka. Jakakolwiek by była jej wartość, sala stołowa, gotowalnia, nawet najbardziej wspaniała, pokój sypialny — wszystko to skierowane jest ku potrzebom zwierzęcia ludzkiego. Ale salon, którego użyteczność polega na tem, iż jest nieużyteczny, przeznaczony dla wiecznej parady, gdzie wszystkie czyny i wszystkie wyrazy są konwencyonalne, a czas, który tam spędzamy, jest sam zbytkiem — czyż nie możesz istotnie zrozumieć, iż mamy pewien stan sztuki w tej atmosferze sztucznej? A więc ukrywać wszystkie swe potrzeby, maskować swe brzydoty, zasłaniać braki, hamować cnoty, udawać twarzą, kłamać mową — to miałożby nie być sztuką żywą, sztuką absolutną samego życia? Może mi odpowiesz, iż nie tyle masz przeciw samemu światu, co przeciw ludziom, którzy go składają...

Otóż zwracam się do twej wiarogodności, która się zgodzi, iż ciąg tradycyi i wychowania ustanowił tam pewne rękojmie tonu i maniery, niepozostawiające w stosunkach osobistych nic do życzenia. Gdy np. arystokrata występuje przypadkiem przed sądem poprawczym, to czyż z godności, którą posiada jego zachowanie się wobec sędziów, nie jesteśmy dość zbudowani, aby przewidzieć, ile ono zawierać będzie słodyczy i dystynkcyi w obchodzeniu się ze strażnikami? Sądzisz, że żartuję. Bynajmniej. Tam właśnie, gdzie trudno zachować piękną pozę, wykazuje się rasa. Co się tyczy kobiet ze świata, o których ty tak szybko wyrzuciłeś swój ślepy sąd, to pozwól sobie powiedzieć, iż przynajmniej najlepsze z nich wydają się być specyalnie hodowane dla rozkoszy królewskich. Twoja silna natura — którą nazwę lojalną, aby módz wdzięczniej napomknąć, iż jest prostą — nie zna stopnia feminizacyi, jaką zdobyć mogą czary niewieście, niezależnie od kobiecości wogóle. Byleby były dostępne i gotowe do „kompozycyi,“ widziałem cię zwykle zachwyconym wszelkiemi. Istnieje, mój drogi, coś innego i lepszego, niż te łatwe zadowolenia paszy z siedemnastego okręgu Paryża. Istnieje naprzód — jeżeli weźmiemy dla porównania francuza i angielkę — pociąg instynktu, żywa ciekawość zmysłów, żądza zetknięcia się fantazyi lądowca z naskórkiem wyspiarki. A teraz staraj się wyobrazić sobie, jak wspaniale udoskonalenie płci może być wytworzone z gatunku kobiety w tych warunkach, w jakich ona żyje. Otoczone przez najbardziej eleganckich mężczyzn, których jedynem zadaniem życia jest występować, jak stadniki na przechadzce, kobiety ze świata są w ciągłej atmosferze pożądań miłosnych. Tymczasem aby je powstrzymać, ileż przeszkód się wznosi naokoło nich: barykry męża, rodziny, praw i obyczajów. Nie ma aż do służby niczego, coby nie było przeszkodą. Te wielkie gachy, lokaje, jeżdżący z panami i wyczekujący w przedpokojach, sprawiają mi zawsze wrażenie, jak gdyby czyhali na swą podsądną, żeby ją odprowadzić do wozu celkowego na dole i zatrzasnąć nieubłaganie za nią drzwiczki mniej lub więcej herbowne. Jeżeli tylko spoglądam na kobiety światowe oczyma malarza, który wie, jak one są bez ustanku pobudzane przez męki wszystkich zaofiarowań i próśb w istnieniu balów, rozdrażnienia cielesnego i niewoli, odczytuję na ich twarzach katusze młodego spartańczyka, któremu zwierz żre pod suknią wnętrzności. I za-

---

skaczące przed oczami jej, jak drobne muszki, litery druku.

Jak dawno nie czytała! Jak dawno zapomniała, co to jest czytanie.

Machinalnie wodziła wzrokiem po szpaltach gazety, gdy wtem zatrzymała się na jednej z nich. Wzrok jej uderzyły duże, czarne wyrazy, w czarnej, kwadratowej obwódce zawarte. Czytała wyraźnie, nie zdając sobie sprawy, że czyta:

„Maryan Wysocki, obywatel ziemski, kawaler, lat 30 liczący, zmarł w kwietniu, o czem przyjaciel jego zawiadamia znajomych i krewnych nieboszczyka,“

Litery nekrologu zaczęły drgać w jej oczach szybkim, wirowym ruchem drobnych kół i plamek. Nie mogła czytać dłużej, gazeta z szelestem wypadła z rąk jej na ziemię.

Była bardzo zmęczona dniem dzisiejszym, pełnym wrażeń. Przejrzenie gazety wyczerpało ją do reszty. Uczuła wielką senność.

W ubraniu rzuciła się na łóżko i po chwili zasnęła snem twardym, jak człowiek, znużony ciężką pracą fizyczną.

W nocy obudziła się nagle i otworzyła oczy szeroko.

Księżyc zaglądał przez szyby okna do wnętrza pokoju, za koronkowy baldachim łóżka, na którem leżała. Snopy srebrnych promieni, przedzierając się przez giupiurowy deseń firanki, rzucały ruchomy światłocień na kwadraty posadzki, na miękkie, błękitne kanapki i fotele, drzemiące dokoła. Drobne srebrne pyłki drgając w ukośnych smugach powietrza, tworzyły przezroczysty welon tiulowy, miękkimi zwojami zahaczony o framugi okien i festony błękitnych kotar, o liście kwiatów i kontury chińskich wazonów, o arabeski sufitu i ramy dwóch wielkich portretów, zawieszonych na głównej ścianie pokoju. Z jednego z nich patrzyła na nią twarz mężczyzny o łagodnem, spokojnem, lecz stanowczem wejrzeniu, blada, ściągła, pełna refleksyi, okolona ciemnym zarostem.

Księżyc pieścił ją, całował różowe, lekko rozchylone usta, białą, delikatnymi konturami na ciemnem tle płótna zarysowaną szyję, białe, miękkie, delikatne, jak u kobiety ręce o długich, wązkich palcach.

Wanda utkwiła w nią oczy. Serce jej biło mocno. Wspomnienia bezładne, chaotyczne cisnęły się do mózgu. Nie umiała powiązać ich: rozpierały skronie, podnosiły piersi szybkim oddechem, a jednocze-

śnie — pełne słodyczy — odurzały, jak stare, mocne wino...

I znowu ten sam obraz, co przed kilkoma godzinami, błąkał się w jej umyśle, zamajaczył przed nią żywo. Blask zachodzącego jaskrawo słońca, żółte paski, przejażdżka konno na gniadej klaczy, wstrząsającej grzywą i parskającej nozdrzami za każdem silniejszem ściągnięciem uzdeczki — to były wspomnienia, które ona niegdyś przeżyła...

Patrząc na bladą, nieruchomą twarz mężczyzny na portrecie, pytała:

— Kto on?

Pamięć jej pracowała, aż w skroniach bolało od wysiłku: a w tyle czaszki zawisł ciężar ołowiu.

Znużona, przymknęła powieki i postanowiła zasnąć spokojnie, gdy wtem niesforne chochliki myśli rzuciły przed oczy jej obraz, widziany niedawno. Czarna, kwadratowa obwódka i zawarte w niej duże czarne litery nekrologu zamajaczyły przed nią wyraźnie.

— Maryan umarł! — szepnął jakiś głos z zewnątrz wprost do jej ucha.

Rozejrzała się. W pokoju nie było nikogo, prócz matki, która spała w tej chwili.

— Maryan umarł! — powtórzył ten sam głos cichy, lecz i wyraźny i uparty.

pewniam, iż lektura ta jest nader przykuwająca.“ Oto jak Hervieu broni w swym języku umyślnie powikłanym, popsutym, zmanierowanym rozkoszy wielkiego świata dla spostrzegacza-artysty. Jest w jego podziwach naiwnych wiele dobroduszności, a w jego wyszukanej i niewątpliwej elegancyi nieubłagana poprawność dorobkiewicza, który w sprawach „wyższego tonu“ jest bardziej wymagający, niż ci, co odnajdują korzenie swych drzew genealogicznych w samej nawet arce Noego; trzeba jednak przyznać, iż świat obrany przez Hervieu'go jest polem nader wdzięcznem dla studyów. Wszak już Goethe, poszukując warunków normalnego i wszechstronnego rozwoju jednostki, odnalazł je pośród arystokracyi, która jest mniej więcej wolna od hańbiącego ucisku, wywieranego przez podział pracy. Wprawdzie jego Wilhelm Meister miewa często dość rzadką minę, a mianowicie gdy mu powierzoną jest wszelka „sale besogne“ przez jasnych panów, np. gdy ma uwolnić hrabiego Lotharia od natrętnej i uprzykrzonej kochanki — ale nareszcie był „adoptowany“ przez arystokracyę. Wolimy już zachowanie się Hervieu'go, który podziwia i zachwyca się bardziej formalizmem i stylem „wyższego życia,“ niż jego treścią, ale „zna swoje miejsce“ i adoptowanym by być nie chciał. Jego malarz jest sługą, malującym za pieniądze portrety jasnych panów i ani na chwilę nie zapomina, iż oddziela go od nich cała przepaść nie do zapełnienia; w ten sposób ratuje on poniekąd słabości zmysłów i smaku, przykuwających go do tego otoczenia, podczas gdy Wilhelm Meister, pnący się do „wyższego“ towarzystwa pod pozorem „wszechstronego rozwoju,“ jest porządnie obydny, i nie rozumiemy doprawdy, jak radca tajny Goethe tego nie spostrzegł. Bo jeżeli zmuszeni jesteśmy przez głód za cenę godności pozostawać w jakiemś towarzystwie, to warci jesteśmy pożałowania, jeżeli zaś to czynimy dla „wszechstronnego rozwoju,“ to wzbudzamy wstręt. „Rozwój“ ten trzeba więc pozostawić członkom szczęśliwej kasty, która zresztą nie umie korzystać z przywilejów, jakie jej los dostarczył. Może tylko na kobiety warunki życia arystokratycznego mają wpływ znakomity, jeżeli sądzić z tej galeryi, którą nam ofiaruje Hervieu. Nie znamy z obecnych żadnego pisarza w Europie, któryby z nim pod tym względem mógł pójść w zawody. Większości np. naszych autorów stanowczo brak kobiet: rozmaite Basie i Anielki Prusów i Sienkiewiczów czynią wrażenie panien służących lub bogobojnych szlachcianek o kurzych mózgach, drobnych posagach, w stylu nałęczowskim lub ostrołęckim.

Nie powiem, żeby kobiety Hervieu'go zbliżały się w jakikolwiek sposób do ideału człowieka; bynajmniej, są to samice, ale samice rasowe, rozdzierające w potrzebie uderzeniem pazura; za to, jeżeli się oddają, to nie jak drobnomieszczańskie grzesznice, ale po królewsku, bez zgryzot i bez żalów. Tak zwane „cnoty“ niewieście — nazywamy je cnotami, gdyż są dla nas, mężczyzn, wygodne — wywietrzały w nich do tego stopnia, iż poszukujący ich znajduje na pięknych ich twarzach już tylko smugę sarkazmu. Są tam wprawdzie dopiero co uszlachcone małżeństwem mieszczaneczki, dostępne tylko dla znacznego amatora z przedmieścia St. Germain, wielkiego księcia lub ambasadora: zdaniem Stendhala, do serca niektórych kobiet można wjechać tylko czworokonnym cugiem. Takie zręczny myśliwy może łatwo upolować, z innemi trudniejsza sprawa. Nie wiemy, co się dzieje w wielkim „mondzie,“ Hervieu wydaje się doskonale poinformowany, a jeżeli istotnie tak się dzieje, jak on przedstawia, to stosunki pomiędzy płciami znajdują się w fazie wielkiej swobody, naruszalnej przez brutalność mężczyzn i kokieteryę kobiet. Autor w swym stylu, napiętnowanym elegancką oschłością, przypominającą pisarzy XVIII stulecia i z wytworną mizantropią Stendhala daje nam obrazy nie do uwierzenia odrażające: te wielkie damy są przedmiotem zwykłego handlu, gdy są pannami i przedmiotem zwykłego, brutalnego gwałtu, gdy się stają mężatkami, trochę przez mężów zaniedbanemi. Nigdy pierwotne instynkty gorylów nie gnieździły się tak zapamiętale, jak pod fryzowanemi czaszkami, nigdy nie były tak nieubłagane i nie wyskakiwały ze swych zasadzek, gdzie są przyczajone, na swe ofiary z taką bezczelnością. Człowiek dla Hervieu'go jest istotą krwiożerczą: lakierki, cylinder, rękawiczki nic tu nie pomogą. Wcale dlań nie jest dowiedzionem, iż miłość dostarcza ludziom więcej rozkoszy, niż nienawiść lub zemsta. Przynajmniej bohaterowie jego w pogoni za „sensacyami prawdziwemi“ napawają się gniewem a nawet nienawiścią, któremi są w stanie natchnąć przedmioty swych zalotów. Oto np. jeden z nich, baron Munstern, powiada: „Ze starością nie przechodzi żądza widzenia kobiet w stanie bachantek i wprowadzania ich w ten stan. Wyrzekłem się dostarczania im radości, ale celuję we wzbudzaniu ich rozjuszenia. Jest rzeczą równoznaczną czuć ładną istotę na szczycie szczęścia, czy też nieszczęścia. Wściekłość, której imponujemy, warta jest rozkoszy, którą wzbudzamy i pierwsza zresztą nie ukrywa się z taką łatwością“ *). Jedna z pysznych nowonabytym tytułem arystokratek, pani de la Floche, pada ofiarą tego właśnie zbója, który postawił na nią zwykły, dość grubej nawet roboty potrzask. Za to młody utalentowany malarz, Guy Marfaux, zaproszony do zamku, gdzie wszystkie intrygi równolegle się rozwijają, wodzony przez jedną z tych dam o bieliźnie „fleurdelisée,“ pod którą kryje się wspaniały Rubens, zostaje w chwili ostatniej, gdy już prawie był u celu, z niczem... Miłość przybiera tu istotną swą postać: nienawiści wrodzonej obojga płci i ich zawziętej walki. Szczęściem wszystko się ściera aż do wspomnienia i życie rozpoczyna się wciąż na nowo. Przestrzeń i czas goją wszelkie rany sercowe: wybaczamy wszystkie wyrządzone nam krzywdy, a nawet — co daleko trudniej — i te, któreśmy sami wyrządzili.

L. W.

TEATR.

J. Bliziński, *Panna z posagiem*. — J. Courtelin, *Barbarouche*.

Nie byśmy nie mieli przeciw skwapliwości w wydobywaniu ze skrytek autorskich Blizińskiego utworów, których on sam nie chciał światu pokazać, gdyby za pośrednictwem nich nie usiłowano albo podnieść go jeszcze wyżej, albo przynajmniej umocnić na zajętem stanowisku. Ten bowiem wysiłek, zamiast pomagać, szkodzi pracom, odgrzebanym po śmierci autora, gdyż zmusza widzów i słuchaczów do upatrywania śladów wielkiego talentu tam, gdzie ich szczerze nikt nie dostrzega. Nie ubliża to żadnemu pisarzowi, że stworzył rzeczy słabsze, owszem, przynosi mu to zaszczyt, że je bezstronnie ocenił i ukrył. Dlaczego krytycy nie wierzą jego sądowi i nie naśladują jego trzeźwości, zwłaszcza że w głębi duszy z nim się godzą, pojąć trudno.

Świeżo przedstawiona *Panna z posagiem*, obrazująca krótkie splątanie sercowego węzła między kochankami przez łowcę po-

*) Co to za atmosferę moralną stworzył romans francuski, jeśli taka filozofia cynizmu zabrała głos, jest słuchana i podziwiana! *Red.*

Tak, umarł. Był to dla niej fakt, o którym wiedziała jakoby już oddawna, który spoczywał na dnie jej świadomości, nie mając siły przedostać się na jaw.

Maryan umarł... Stanowczo wiedziała o tem, jakkolwiek ani razu w ciągu tygodnia nie pomyślała, że on mógł umrzeć...

Co ją to zresztą mogło obchodzić? Człowiek, którego charakter był wieczną dla niej zagadką, którego nie rozumiała, którego bała się, a który miał nad nią taką dziwną władzę!..

Teraz dopiero zrozumiała, że widziadła, jakie prześladowały ją przez cały czas choroby aż do ostatnich dni obecnych, że sylwetka Maryana, błąkająca się dokoła niej ciągle, była tylko złudzeniem, że w rzeczywistości „on“ nie był przy niej, że dawno już, bardzo dawno — nie pamiętała, ile lat temu — przestała go widywać.

Księżyc, płynąc coraz wyżej po szafirowem, gwiazdami utkanem niebie, rzucał coraz wyższe i coraz bledsze smugi blasku. Ruchomy światłocień i welon tiulowy drobnych pyłków roztapiały się stopniowo w ciemnej próżni, gasnąc jak płomyki świec, czyjemś, niewidzialnem tchnieniem zdmuchiwane.

Wanda przelękła się zmroku, rozpinającego czarne skrzydła w przestrzeni.

— Mateczko! — szepnęła, pochylając się nad łóżkiem Stefanii.

— Obudź się! — dodała błagalnie.

Stefania przetarła oczy nieprzytomnie.

Długie noce dotychczasowego czuwania wywołały reakcyę, dając jej teraz sen twardy, mocny, z którego budziła się z wysiłkiem.

— Zapal światło i porozmawiaj trochę ze mną: czegoś boję się dzisiaj! — prosiła Wanda, przyzwyczajona przez czas choroby, iż spełniano każde, bodajby najniedorzeczniejsze jej życzenie.

Stefania, oprzytomniawszy, zapaliła światło, zarzuciła na siebie szlafroczek i usiadła na łóżku córki, gładząc mięką ręką jej włosy.

— Opowiedz mi coś z życia mojego, opowiedz mi wszystko, co działo się ze mną przed chorobą moją, tylko nie opuść nic: ja będę słuchała — prosiła, ująwszy obie ręce matki, które miały uchronić ją przed tą dziwną trwogą, jakiej doznawała.

— Miałaś lat dwadzieścia, kiedy z polecenia lekarzy wyjechałyśmy do kąpiel morskich dla wzmocnienia ciebie, byłaś bowiem chwilowo bardzo osłabiona i rozdrażniona. Nad morzem poznałaś Bolesława. Pokochaliście się odrazu: nie znajdując żadnych przeszkód, pobraliście się natychmiast po powrocie do kraju. Później byliście bardzo, bardzo szczęśliwi, aż przyszła choroba twoja, która zmaciła to szczęście wasze.

Jednostajny, słabo modelowany głos Stefanii uśpił Wandę, jak usypia dzieci opowiadanie starej niani. Nie pamiętała, kiedy matka skończyła mówić. Zasnąwszy mocno, śniła, że jest nad morzem, że o zachodzie słońca wyjechała nad brzeg konno. Pomarańczowo - fioletowa barwa zalała część nieboskłonu, odbijając się w tafli spokojnej, prawie nieruchomej wody kłębami złotych i sinych obłoków. Cicho było w powietrzu, jak gdyby anioł spokoju na skrzydłach zmierzchu opłynął wybrzeże. Woda nie pluskała. Mewy odbiegłszy na żer ku wschodniej stronie wyspy, nie zawodziły jęków swych żałosnych. Tłum gości kąpielowych pozostał na głównej części wybrzeża, ona zaś odjechała daleko i byłaby jechała bez końca, zapatrzona w zbiegającą na dół tarczę słoneczną, w spokojną, ołowiano-szarą taflę wody, w żółty piasek, rozpryskujący się drobnym pyłem pod kopytami gniadej klacz — wtem ktoś, co jechał obok niej stępa tak, jak ona, przysunął się do niej, objął ją w pół ramieniem i przycisnął usta swoje do jej ust.

sagowego, jest robótką miłą, barwną, jasną, w myśli przewodniej poczciwą, ale słabą. Może ona stanowić pamiątkę po znakomitym pisarzu, może nawet utrzymać się w repertuarze i przez czas pewien dostarczać publiczności niepośledniego zadowolenia, perłą wszakże sceniczną lub literacką nie jest i nigdy nie będzie.

Niejaki Courtelin, rozumie się francuz, wynalazł nową kombinacyę sceniczną, rozumie się, wiarołomstwa, która miała „olbrzymie powodzenie,“ rozumie się, w Paryżu. Nowość polega na tem, że trójkąt utworzony został nie z męża, żony i kochanka lub kochanki, ale z utrzymującego, utrzymanki i jej oblubieńca. Wiarołomną więc jest metresa, która okazując przywiązanie swemu legalnemu (pieniężnie) panu, przechowuje w szafie innego. Przypadek odkrył naiwnemu rogi na jego głowie, ale zręczna łasica umiała nietylko rozbroić go z gniewu, ale nawet rzucić do swych stóp. O ile ten temat — jeżeli nie stęchły od starości (znawcy przyznali mu „świeżość“), to cuchnący od zgnilizny, mógł być smacznie przyprawiony dla tegoczesnego teatru, o tyle autorowi trzeba przyznać talent i zasługę. Jest to dobry kucharz, który potrafił tak upiec piżmową kaczkę, że ją biesiadnicy zjadają z apetytem.

Koncert kompozytorski Z. Noskowskiego.

Tak szumną nazwą ochrzciły pisma i afisze uroczystość muzyczną, która odbyła się ubiegłej soboty na scenie Teatru Wielkiego. Szczupłe (jak o tem świadczyły puste loże i krzesła), nader szczupłe kółko melomanów, na których nie działają ani fanfary hucznych reklam, ani podniesienie ceny miejsc — i jedno i drugie nie poprzedziło tym razem koncertu — pobiegło z ciekawością, aby usłyszeć kilka świeżych produktów swojskiej muzy i oto co się okazało? Że pierwszą część wieczoru wypełniła znana już publiczności, bardzo piękna, wspaniale i plastycznie balladę Mickiewicza ilustrująca Świtezianka, podczas gdy do drugiej najniespodziewaniej w świecie wplotły się nazwiska Brucha, Gounoda, Sarassatego i Beethovena. Mistrzowski smyczek Barcewicza i przepiękny głos p. Dąbrowskiej nagrodziły wprawdzie w zupełności doznany zawód, nie mogły wszakże usunąć wrażenia wielkiej przykrości, jakie wywołało przeświadczenie, iż swojską muzę nie stać było na wypełnienie całego programu. Gdy dodamy do tego wielką niestaranność w opracowaniu Świtezianki oraz wszystkich innych zbiorowych utworów, brak solidarności chórów i orkiestry, wytwarzający chwilami taki chaos i zamieszanie, iż trudno było pochwycić jasną i czystą myśl muzyczną, zrozumiemy, z jak silnem uczuciem niesmaku i rozgoryczenia opuszczaliśmy tego wieczora salę Teatru Wielkiego.

U nas tak zawsze: są piękne, samodzielne talenty, z którymi liczyć się trzeba, a do tych należy bezwarunkowo talent p. Noskowskiego — są wiele obiecujące siły, lecz gdy przyjdzie spoić je w całość, coś staje na zawadzie zawsze dobrym intencyom i zamiarom.

Tym razem była to, jak zapewnia sam kompozytor, jedna jedyna próba, odbyta z chórami i orkiestrą razem.

Z czyjej winy tak się stało? — nie nam sądzić o tem.

Selika.

NOWE KSIĄŻKI.

Zygmunt Gloger, *Ze starych szpargałów ś. p. Karola Żery.* Fraszki i opowiadania.

P. G. przeglądając skrzynię starych szpargałów na poddaszu jednego z dworków nadnarwiańskich, znalazł gruby rękopis, który skróciwszy i uporządkowawszy, wydał w osobnej książce. Autor tych fraszek żył w osiemnastym wieku, „z niejednego pieca chleb jadał, znał dobrze wszystką szlachtę mazowiecką i podlaską między Bugiem i Narwią,“ zbierał anegdotki z życia wszystkich warstw, a więc i dowcipem chłopskim nie gardził. Notował skrzętnie każde wyrażenie i przysłowie, zasłyszane z ust szlachty, księży, ludu, tudzież staruszki Osiepowej, ubogiej mieszczanki drohickiej. Książka obfituje w wiersze, śpiewki, odpowiedzi, zagadki, maksymy i anegdoty, charakteryzujące poniekąd ówczesnych ludzi i ich obyczaje. P. Gloger w tym materyale, oprócz wartości humorystycznej, upatrzył także etnograficzną.

Stanisław Pałko. *Wykład pisowni polskiej w dyktandach,* według uchwał Akademii Umiejętności w Krakowie.

Jest to podręcznik, przeznaczony dla nauczycieli. Częstokroć utrudniają oni mimowoli naukę; dawane bowiem uczniom ćwiczenia zawierają materyał różnorodny, do którego muszą być zastosowane zasady pisowni wszystkich części mowy. Wskutek tego dziecko, zniewolone do zapamiętania w krótkim czasie wielkiej ilości zasad, przeładowywa umysł i posuwa się wolno. Zdaniem autora, uczeń wtedy tylko będzie robił szybkie postępy w dyktandzie, gdy nauczyciel zastosuje ćwiczenia do lekcyi gramatyki. Dziecko osiągnie z tego podwójną korzyść: 1) pisząc przykłady na objaśnione mu zasady języka, łatwiej je sobie utrwali w pamięci; 2) znając zasady języka, łatwiej będzie mogło się ustrzedz błędu w dyktandzie. „Twierdzenia dawnych nauczycieli, że dziecko powinno się nauczyć zasad pisowni przy uczeniu się gramatyki, a dyktando ma służyć probierzem (oj, chyba nie tak!) wskazującym, jakie postępy zrobiło w tej nauce — są bardzo błędne, gdyż w praktyce okazało się, iż dzieci pisząc ćwiczenia na pewne zasady, łatwiej i w krótszym czasie utrwalają je sobie w pamięci, niż ucząc się tych zasad bez pisania odpowiednich przykładów. Z drugiej strony praktyka stwierdziła, że dzieci, umiejące dobrze zasady pisowni, pomimo to piszą błędnie, jeżeli nie pisały licznych przykładów na znajome im zasady.“ Nad podręcznikiem swoim autor pracował lat 15 i główny położył w nim nacisk na systematyczność. Ułożył materyał tak, iżby ustawicznie powtarzać w przykładach już przedtem objaśnione zasady pisowni, co da nauczycielowi możność przekonania się, czy dzieci dostatecznie utrwaliły sobie w pamięci to, co poprzednio im objaśniono.

Teresa Jadwiga, *Ognisko rodzinne*, powieść dla młodzieży.

Myślą przewodnią autorki było przedstawić szereg postaci, stanowiących sferę pracowników zawodowych. Ojciec rodziny jest wice-dyrektorem cukrowni, jego dzieci starają się od lat najmłodszych ulżyć ciężaru i osłodzić mu życie. Szczególnie starsza córka jest typem niezmordowanej pracownicy, od rana do nocy zajmuje się gospodarstwem i uczeniem młodszego rodzeństwa. Zasada wzajemnej pomocy, ofiarowywanie chwil wolnych na kształcenie nietylko swoich, lecz i obcych, na pielęgnowanie chorych — jest tłem moralnem tego opowiadania.

Cordelia, *Mali bohaterowie* (Piccoli eroi). Książka dla młodzieży. Przekład z włoskiego Zofii Sokołowskiej.

Książka zawiera trzydzieści drobnych opowiadań, na tle różnych sfer osnutych. Niektóre z tych obrazów na kanwie przygód i zdarzeń dają dzieciom wiadomości pożyteczne z dziedziny przyrody i techniki (tajemnice wykonywania fotografii, opis urządzenia przędzalni), wskazówki z hygieny (jak się obchodzić z ranami) itd. Powiastki ozdobione rysunkami.

Wł. Weychertówna, *Dla młodzieży.* Książeczka dla tych, którzy chcą dobrze mówić, czytać i pisać po polsku.

W sposób obrazowy (objaśniony rysunkami) autorka wykłada zasadę składni, której całą część pierwszą poświęca i jako przykład, szczegółowo rozbiera powiastkę. W taki sam sposób opracowana jest w części drugiej etymologia. Na czele jest umieszczona krótka nauka o zmysłach.

Morze, piaski wybrzeża, niebo jaskrawe zawirowały w jej oczach: byłaby spadła z konia, gdyby silne, męzkie ramię nie podtrzymało jej...

Tak było jej dobrze wówczas, taka była szczęśliwa!..

Szary brzask zajrzał do okien. Wanda otworzyła zlekka powieki.

Pokój pełen był żółtego blasku, który miała w oczach ze snu jeszcze.

Spojrzała na portret, zawieszony wprost jej łóżka a skąpany również barwą sennych jej majaczeń.

— To on, to Bolesław! — szepnęła na pół we śnie, na pół na jawie.

Przymknąwszy oczy, śniła napowrót, że Bolesław, mąż jej, całuje ją i pieści, wyznając jej po raz pierwszy miłość swoją.

Kilka jeszcze jaskrawych wspomnień niedalekiej przeszłości w logicznym następczym szeregu przesunęło się we śnie jej, przerwane w połowie nieładem majaczeń.

Spała mocno, jak wrażliwe medium, któremu spać kazano.

Słońce weszło na sam szczyt południa, gdy otworzyła oczy, zbudzona głośnem wołaniem Mietka, który w trzeciem pokoju napierał się śniadania.

Usiadła na łóżku, rozglądając się dokoła. Chaos pojęć wirował w jej głowie.

— Spałam długo, chyba rok cały — myślała, przecierając zwolna powieki.

Nagle, w błyskawicznym rzucie pamięci, która przed umysł jej wyprowadziła kilka wyraźnych, szybko i drobiazgowo odtworzonych obrazów, wróciło jej całkowite i dokładne wspomnienie kilku ostatnich lat minionych.

— Gdzie Bolesław? — zapytała matkę, która weszła w tej chwili do pokoju.

Zdawało się jej, że wczoraj dopiero przed zaśnięciem pożegnała męża i że dziś rano powinna zobaczyć go znowu.

Głos Mietka, który zaspokoiwszy głód swój, bawił się z boną w dziecinnym pokoju nie zdziwił jej ani trochę, słyszała go wczoraj, cokolwiek tylko może zmężniał w brzmieniu.

— Dlaczego ani Bolesław, ani Mietek nie są tu przy mnie? — spytała ponownie.

— Bolesław wyjechał i wróci jutro dopiero. Mietek przyjdzie zaraz — odpowiedziano jej.

Normalny tryb dni, pędzonych przed chorobą, odtworzył się w umyśle jej dokładnie. Ogniwo, wyrwane z pamięci, a raczej tkwiące w głębi jej nieświadomie, wróciło, domagając się praw bytu dla siebie.

— Czemu ja dziś spałam tak długo? — pytała, dziwiąc się, dlaczego nie zbudzono jej, jak zwykle przed dziesiątą rano, gdy Bolesław wychodził z domu.

Mietek wpadł z hałasem, wezwany do matki przez babkę.

— Mój synku, moje skarby, moje pieszczoty! — zawołała, całując go, poprawiając mu włosy nad czołem i dziwiąc się, dlaczego gęsta jego, w loki skręcona czuprynka tak pociemniała, dla czego on sam urósł tak bardzo, dlaczego patrzył na nią onieśmielony, jak gdyby odwykł od pieszczot jej.

Sen, w którym wróciła przeszłość, drgał jeszcze na powiekach jej, gdy przypomniała sobie, że pół roku temu zachorowała ciężko, że potem nic nie wiedziała, nikogo nie poznawała.

C. Walewska.

KONIEC.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

— Nakładem księgarza moskiewskiego, S. Szarapowa wyszła książka p. t. „Kwiaty wschodnie,“ zawierająca przekłady na język ruski różnych autorów, między innymi Maryi Konopnickiej: *Banasiowa, Anasia* i *Cioteczka.*

— Wkrótce nakładem Douglasa w Londynie ukażą się *Listy Walter-Scotta* (większość po raz pierwszy) z r. 1797—1825, pisane przeważnie do najbliższej rodziny i przyjaciół.

— W szeregu historyj pojedynczych narodów ukazała się w wielkiem zbiorowem wydawnictwie (firmy F. Fischera) historya Polski p. t. *Poland*, napisana przez W. R. Mortilla, znanego z wielu prac w zakresie historyi i literatury polskiej. Dzieło jest wydane starannie i ozdobnie z licznymi drzeworytami; oprócz politycznej, zawiera historyę urządzeń polityczno-społecznych tudzież osobny dział literatury od najdawniejszych czasów do chwili obecnej.

— W *Siewiernym Wiestniku* wychodzi przekład najnowszej powieści Henryka Sienkiewicza p. t. „Rodzina Połanieckich.“

— Wypuszczono z pod prasy „Album zabytków przedhistorycznych, zebranych w Muzeum poznańskiem,“ zeszyt 1-szy z 20 tablicami. Te ostatnie przedstawiają kilkaset przedhistorycznych narzędzi broni i ozdób z kamienia, bronzu, rogu i gliny. Całość ma zawierać 60 tablic.

— P. Władysław Rzepko wydał „Szkołę na melodykon.“

— Dr. Maks Kirmis wydał w języku niemieckim dzieło p. t. *Handbuch der polnischen Münzkunde*, poświęcone specyalnie numizmatyce, w którem szczegółowo opowiada dzieje sztuki mincarskiej od najdawniejszych lat do końca zeszłego stulecia.

— *Ruskaja myśl* otrzymała drugie ostrzeżenie za artykuł p. t. „Socyologia na podstawach ekonomicznych“, w którym wyłożone są niezmiernie szkodliwe nauki socyalizmu, przy czem autor, osłaniający się nieznacznemi omówieniami, widocznie ma na celu propagandę tych nauk, (Telegram Ag. póln. *Kuryera warsz.*).

— „Mojżesz,“ najnowsza opera Antoniego Rubinsteina, wystawiona będzie po raz pierwszy w Rydze w styczniu r. p. Koszty wystawy 10,000 rs. mają być pokryte ze składek publicznych.

— *Journal des Economistes*, miesięcznik, redagowany przez G. de Molinari'ego, w zeszycie październikowym umieścił artykuł Władysława Domańskiego p. t. *L'abus du crédit* (Nadużycie kredytu). Autor krytykuje teoryę, żądającą kredytu dla wszystkich, szczególnie zaś — darmo (*crédit gratuit*). W społeczeństwach nieprzygotowanych odpowiednio, zdaniem D., zbyt łatwy kredyt sprowadza złe następstwa ekonomiczne, przyśpiesza bowiem spożycie bogactw.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z GALICYI.

NASZE ZBRODNIE.

(Dokończenie).

Wina zbiorowa znosi osobniczą. Że rzeczywiście kradzież jest u nas przestępstwem typowem, stwierdza to statystyka więzienna. Zakład karny lwowski wykazuje około 80% złodziejów! Wogóle Lwów i Kraków to nasze ogniska „pauperyzmu,“ wydające najliczniejsze kradzieże i imponujące najwyższemi cyframi niepoprawnych zbrodniarzów. Za główną sprężynę w przeważnej części przestępstw przyjąć należy nędzę i ubóstwo, a w nielicznych wypadkach chciwość. Z podniesieniem się dobrobytu upadłyby te sięgania po cudzą własność. Kiedy na 100,000 mieszkańców w Węgrzech jest tylko 77 wypadków kradzieży, w Galicyi na 6,768 osądzonych — za złodziejstwo skazano 5,060.

Drugiem typowem naszem przestępstwem są uszkodzenia cielesne, w których żaden inny kraj nie może wykazać tak potwornej cyfry, jak nasz. Zachodzi tylko różnica w rozmieszczeniu obu tych kategoryj wykroczeń. Miejscem operacyjnem najczęstszych u nas kradzieży są miasta, po wsiach zaś stosunkowo najliczniejsze są zranienia. Pierwsze wymagają pewnego sprytu i pomysłowości, drugie siły fizycznej. Ludność nasza nie odczuwa wogóle doniosłości winy uszkodzenia cielesnego, nie przywiązuje zbyt wielkiej wagi do poniesionej szkody i chętnie wybacza krzywdę, zadawalając się skromnem wynagrodzeniem.

Ciemną plamą naszej przestępczości są stręczenia do nierządu, w których a Galicya wschodnia bierze udział przodujący. Objaw to znaczący, że właśnie okręgi nasze, graniczące z Bukowiną i Rumunią, wykazują największy udział w tem przestępstwie. Należy tu znane „wywożenie dziewcząt,“ właściwe tylko Galicyi. Siedliskiem tego wstrętnego handlu jest Lwów, a Stanisławów i Kołomyja — etapami. Z tych miejscowości zarzucane są sieci na cały kraj, ustanowione są stałe agentury, pozostające w najściślejszej łączności z siedzibą główną. Pierwszem miejscem zbytu jest Konstantynopol. W latach ostatnich skoncentrował się handel głównie w Buenos Ayres, gdzie warunki są korzystniejsze. Cała działalność okryta jest tajemnicą i mimo czujności władz tylko przypadek odkrywa zniknięcie ofiar. Śledztwo jest utrudnione wskutek przebiegłości i sprytu sprawców, jako też solidarności licznych wspólników, rozrzuconych po rozmaitych miejscowościach. Handel ten spoczywa wyłącznie w rękach żydowskich. Ofiarą jednak padają nietylko dziewczęta wyznania katolickiego, lecz częściej żydówki.

W miarę rozwoju sił fizycznych i umysłowych przestępstwa kształtują się ilościowo i rodzajowo. Wiek dziecięcy zadawala się kradzieżą domową, młodzieńczy uzbrojony już w silniejszą energię woli, szuka zaspokojenia w czynach gwałtownych. Później nadchodzi okres męzkości, zastanowienia się, sprawca rzadko tu działa namiętnie, a natomiast więcej podstępnie i skrycie. Najkrytyczniejszym wiekiem jest okres od lat 20—30, wykazuje bowiem najwyższy procent przestępstw rozmaitego rodzaju.

Najpochopniejszy jest do zbrodni przeciw obyczajności wiek młodzieńczy, co pozostaje w ścisłym związku z okresem budzenia się popędów płciowych. Wiek wyżej lat 60 charakteryzuje się większym udziałem w wykroczeniach przeciw moralności, nacechowanych pewną rafineryą. Do wyjątków należą u nas przestępcy nieletni zpośród ludności wiejskiej. Prostota obyczajów i brak sposobności składają się na ten pocieszający objaw. Natomiast stek małoletnich zbrodniarzy kryje się po naszych miastach stołecznych. Niezdrowa atmosfera, w której żyją, rzuca ich już wcześnie na drogę zbrodni.

Odnośnie do wpływu wykształcenia stwierdza nasza statystyka, że udział analfabetów w przestępczości stopniowo się zmniejsza, a natomiast wzmaga się coraz cyfra przestępców mniej lub więcej wykształconych. Że jednak oświata, uszlachetniająca człowieka a nie ograniczająca się na samem czytaniu i pisaniu, powstrzymuje go od wstąpienia na drogę bezprawia, tego wymownym dowodem jest nieznaczny procent przestępców wyżej ukształconych. W Galicyi procent ten niemal niknie. Fizyognomia przestępczości wielkomiejskiej różni się od wiejskiej; nagromadzenie olbrzymich mas, odczuwających swe upośledzenie społeczne, łatwo nadarzająca się sposobność, wydoskonalenie środków technicznych, nadają przestępstwu miejskiemu powien typowy charakter. Prostota życia na wsi, wierność tradycyi, szczupłość pola powodują, że przestępca wiejski trzyma się wzorów odziedziczonych. W charakterze naszej ludności wiejskiej tkwi nieprzezwyciężony pociąg do bójek; kobiety pod wpływem wstydu i nędzy popełniają dzieciobójstwa; kradzieże na wsi popełniane są z nędzy, w miastach małych — ze wstrętu do pracy, w wielkich — z chęci używania.

Zbrodnia pozostaje w pewnej zależności od zmian temperatury. Letnią porą najczęstsze są wykroczenia przeciw osobom, przeciw własności zaś popełniane bywają najczęściej w zimie, kiedy nędza daje się uczuć najsilniej; w lecie natomiast namiętności bardziej rozogniono popychają do przestępstw obyczajowych. W Galicyi wogóle przestępstwa wzrastają podczas zimy, a podczas ostrych mrozów zgłaszają się dobrowolnie do więzień zbrodniarze, oskarżając się o popełnienie przeróżnych wykroczeń, a dopiero w toku śledztwa wychodzi na jaw, że brak przytułku i widoki przebycia krytycznej pory w murach więziennych wprowadziły ich na złą drogę. Że cyfry statystyczne wykazują mniejszy udział kobiet w przestępności, jest to wynikiem tylko społecznych stosunków. Gdyby kobieta żyła w tem samem otoczeniu, co mężczyzna, udział obojga płci co najmniej by się zrównał. Uczucie wstydu, słabość fizyczna, zależność i większe odosobnienie, brak sposobności wpływają na wytworzenie mniejszego pociągu do złego. Udział mężczyzn w Galicyi był w zbrodni siedem razy większy, niż kobiet.

Charakterystycznem jednak jest, że właśnie kobieta uczestniczy u nas w najcięższych zamachach na życie, a podobne spostrzeżenie zrobiono w innych krajach. Okres od 16—20 roku jest krytycznym dla kobiet, dopuszczających się dzieciobójstwa, co pozostaje w związku ze spotęgowanem w tej epoce uczuciem wstydliwości, będącem najczęściej pobudką do zbrodni. Dzieciobójstwa dopuszczają się częściej kobiety wiejskie, spędzania płodu zaś — panie w wielkich miastach.

Wpływ zajęcia na przestępność nie ulega wątpliwości. Niektóre zawody działają na jednostkę uszlachetniająco, inne obniżają poziom moralny. Sługi np. uczestniczą w kradzieżach domowych i porzucaniu dzieci; symptomatycznemi zbrodniami naszej ludności rolniczej są ciężkie uszkodzenia ciała i podpalenia, przemysłowcy skłonni są do oszustw i rozmaitego rodzaju fałszerstw, dzierżawcy okazują wybitną tendencyę do gwałtów publicznych, robotnicy fabryczni do brutalnych zamachów na osobę itp.

Że wpływ narodowości i wyznania może oddziaływać na ukształtowanie się przestępności, tego dowodzi statystyka żydów. Przestępstwami właściwemi ludności żydowskiej są: oszustwo, przekupstwo, lichwa i kupno-sprzedaż głosów. Wogóle cechą znamienną jest tu egoizm na tle chciwości. Szlachetne motywy należą do wyjątków. Zbrodnie, będące udziałem niemal wyłącznym żydów, są świadectwem owego ponurego, demonicznego wszechwładztwa siły samolubstwa, występującego pod rozmaitemi postaciami.

Z pomiędzy czynników, wpływających na wytwórczość zbrodni, zajmuje stan majątkowy naczelne miejsce. Nie można go porównać z bakteryami, które wprowadzone do zdrowego organizmu powodują śmierć, lecz podobny jest do wilgotnego mieszkania, które przyspiesza rozwój suchot dziedzicznych. Jednostka, walcząca z nędzą, nosi w swem wnętrzu zaród zbrodni; połowę kradzieży popełnia się z biedy, $^3/_8$ z chęci używania, a $^1/_8$ z wstrętu do pracy.

W porównaniu z inymi krajami koronnymi, Galicya przoduje największym procentem osób, nieposiadających majątku. Klasa zamożna bierze stosunkowe nieznaczny udział w zamachach na własność, na-

tomiast uczestniczy we wszystkich innych przestępstwach w daleko większym stopniu. Przestępność tych klas ma cechę o wiele wstrętniejszą. Pozytywiści szkoły antropologicznej zwrócili uwagę, że w plejadzie zbrodniarzów, przesuwających się przed kratkami trybunałów karnych, wyróżniają się postacie typowe, weterani w szkole zbrodni, niepoprawni wrogowie porządku społecznego. Dzisiejsze kary są wobec nich bezsilne, a nic nie jest w stanie wykorzenić ich popędów. Sprawa nałogu i dziedziczności przestępców staje się kwestyą społeczną, świadczącą najwymowniej, że w tych olbrzymich organizmach społecznych nie wszystko prawidłowo się rozwija.

W Galicyi stosunki powrotu do zbrodni są prawdziwie opłakane. Jeżeli niemal połowa skazanych przebywała już w murach więziennych, a mimo to ponownie do nich się dostaje, świadczy to o wadliwości naszych więzień, które pomimo całego swego aparatu, nie są w stanie przytłumić upodobań zbrodniczych. Najkrytyczniejszym czasem dla każdego skazańca są owe chwile swobody po wykonaniu na nim pierwszej kary. Dobrze zorganizowanym stowarzyszeniom opieki nad uwolnionymi więźniami otwiera się tu szerokie pole wpływów. Trudność wyszukania zajęcia, ogólny przesąd, powstrzymujące ludzi od wszelkiego zetknięcia się z każdym kryminalistą, bezwzględność naszych władz, zwłaszcza w większych miastach, przy wykonywaniu dozoru policyjnego, wszystko to wtrąca przestępcę na zawsze do więzienia. U nas na tem polu prawie nic nie zrobiono, to też nie dziw, że po krótkiej przerwie wraca winowajca napowrót do kryminału. Galicya wschodnia wyróżnia się od innych krajów koronnych największą cyfrą tej „recydywy,“ zwłaszcza przy zbrodniach podpalenia. W zachodniej charakterystycznym jest powrót do rabunku. Cóż jest powodem u nas tak olbrzymio wzrastającej „recydywy“? Szkoła pozytywna mówi o atawizmie, obłąkaniu moralnem, o fatalizmie przyrodzonym, któremu żadna jednostka oprzeć się nie może i radzi zastosować do przestępców powrotnych nieubłaganą „selekcyę,“ tj. każe oczyścić społeczeństwo z wrogich dla niego osobników i odebrać im możność krzewienia rasy zwyrodniałej. Francya podzielą poniekąd te zapatrywania i wydała 27 maja 1885 r. ustawę, wprowadzającą „relegacyę“ powrotnych przestępców i wieczyste „internowanie“ w koloniach. Nasze sądy bawią się dotąd w pewien sentymentalizm.

Potężnym sprzymierzeńcem motywów, popychających do zbrodni, jest alkoholizm. Stanowi on u nas chorobę społeczną, owo czarne tło, na którem rozgrywają się straszne dramaty. Całe życie wiejskie, nietylko towarzyskie, ale i publiczne zcśrodkowane w karczmie; ona też jest widownią scen, których epilog rozgrywa się przed kratkami trybunałów. Stąd czerpie sprawca natchnienie i otuchę do popełniania morderstw i kradzieży, tu jest grunt, na którym rodzi się wszelka zbrodnia. Dość powiedzieć o naszej ludności, że w jednym roku dostarcza sądom około 30 tysięcy osób winnych opilstwa!

Prościcki.

Z PODRÓŻY.

(Luźne notatki).

XXIV.

27 sierpnia, Minneapolis Ma.

Byliśmy wczoraj wieczorem uroczyście witani w resursie kupieckiej Saint Paulu, w „mącznem mieście“ zaś urządzono nam przyjęcie na pobliskiem jeziorze. Takie uroczystości nie obywają się bez mów. Otóż rzecz ciekawa, kto zpośród naszego grona zabiera głos. Amerykanin podeptał wszystkie przepisy etykiety: nie urzędowi przedstawiciele tego lub innego państwa dziękują za gościnę, nie oni są przedmiotem uwagi ze strony publiczności. Jest w naszym orszaku jeden norwegczyk, wykapany potomek dawnych wikingów. Zamierzył on zbudować łódź na wzór tych, w jakich korsarze normandzcy przed tysiącem lat puszczali się, przebyć Atlantyk i dotrzeć do Chicago. Rząd odmówił pomocy, tem bardziej, iż ów żeglarz należy do opozycyjnego odłamu, marzącego o oderwaniu Norwegii od Szwecyi i obwołania jej Rzecząpospolitą. Kapitan Andersen zwrócił się tedy do ofiarności publicznej, ze składek prywatnych stanęła łódź, w niej zaś z dwunastu towarzyszami przedostał się przez ocean. To, co było niegdyś czynem codziennym, dzisiaj, w wieku parowców, uchodzi za zuchwalstwo — tak spadła skala antropologicznej dzielności! Nie urzędowy przedstawiciel Szwecyi, lecz ów śmiałek figuruje w łamach dzienników, wygłasza mowy dziękczynne... Również nie urzędowy przedstawiciel Hiszpanii, ale inny śmiałek, który przebył Atlantyk na flotyli, odtwarzającej okręty Kolumba, zabiera publicznie głos! Po nich idzie jakiś tłuścioch z Jamajki, jakiś staruszek z innej wyspy antylskiej. Oficyalne postacie naszej części świata zmalały. Wprost czują się nieswojo w tem towarzystwie, urągającem wszelkiej etykiecie i na uboczu dają folgę swojemu oburzeniu, szydząc z braku u amerykanów grzeczności i taktu...

* * *

Ameryka może poszczycić się nietylko swojemi kolejami, ale i hotelami. Zakłady te świadczą wymownie, że ludność amerykańska masowo a często zmienia miejsce swego pobytu. Gdzie obrót soków ludzkich w społeczeństwie odbywa się ślamazarnie i na małą skalę, tam hotele bywają istotnemi łożami Madejowemi. Inaczej dzieje się w kraju, którego obywatel zerwał ze zwyczajami polipa — siedzenia w tem samem miejscu.

Hotel posiada zwykle kształty naszych kamienic z Wilczej lub Wspólnej — zabudowanego czworoboku z podwórzem w środku, tylko że owo podwórze jest salą, posiadającą nad sobą dach szklany. Tutaj znajduje się kantor, tłoczą się przejezdni, w pobliżkim przedziale piszą oni listy, zarząd zaś hotelowy dostarcza bezpłatnie wszystkiego, co potrzeba, a zatem kopert, papieru, piór. Pierwsze piętro, patrzące galeryami na ruch w oszklonem podwórzu, zajmują jadalnia i salony, przeznaczone do rozmowy i przyjmowania znajomych. Bywa ich kilka, urządzonych niekiedy z nadzwyczajnym zbytkiem. Trudno dać należyte wyobrażenie o ich liczbie, obszarze, wreszcie o komforcie, jaki tam panuje. Są to rzeczy nawskróś amerykańskie — w tem znaczeniu, że nigdzie, prócz lądu amerykańskiego, z takiej wygody nie korzystają tak szerokie masy ludności. Z salonów tych w naszej części świata zrobionoby co najmniej kilkadziesiąt numerów. Wyżej, na drugiem, aż do szóstego piętra, idą sypialnie, zaopatrzone w zimną i ciepłą wodę, w światło elektryczne — słowem, każdy szczegół obliczony na to, aby przejezdny miał jak największe wygody. Elewator zastąpił schody. Dodajmy, że niema napiwków dla służby, wogóle zwyczaj ten jest mało znany w Ameryce.

Struktura hotelów powtarza się pono od jednego końca Stanów Zjednoczonych do drugiego. Jedyna różnica w przepychu. „Andytoryum“ w Chicago jest całe wewnątrz wyłożone marmurem, w salonach wiszą drogie obrazy, kosztowne dywany wyściełają podłogę, uboższy zaś hotel nie posiada takich zbytków, ale wszędzie spotykamy to samo marnotrawstwo — z europejskiego punktu widzenia — przestrzeni na salony, w których ten i ów wygodnie spoczywa w fotelu z nogami na pobliżkim stoliku i czyta sążnistych rozmiarów gazetę. A ceny, jak na drożyznę zamorską, są bardzo nizkie; naturalnie nie mówię o Chicago, które podobnie czyha dzisiaj na kieszeń turysty, jak w bajce dyabeł nu duszę ludzką. Wszystko świadczy o tem, że hotel w życiu społecznem Ameryki zaczął odgrywać poważniejszą rolę, aniżeli u nas. Są tam hotele, w których żyją stale całe rodziny, ognisko rodzinne zostało zupełnie pochłonięte przez społeczny podział pracy. Znicz staroczesny jest cudzą własnością i ktoś nietylko mieszka w cudzych murach, lecz śpi na cudzem łóżku i w cudzej pościeli, wygrzewa się przed najętym kominkiem, odpoczywa na nieswoim fotelu i je z talerzy, które nie do niego należą...

* * *

New-York, a tem bardziej taki nieamerykański gród, jak Chicago, pozbyły się wielu zwyczajów czysto amerykańskiego życia. W tej liczbie znajduje się poniekąd uprzejmość dla kobiety. Epoka feodalna wyhodowała rycerską grzeczność, ale w głębi jej tkwiła niższość płci żeńskiej. Była to wyidealizowana żądza samca, otoczona i przyozdobiona nimbem poezyi. Don Kiszot, ta karykatura awanturniczej dzielności średniowiecznego rycerstwa w oświetleniu trzeźwości mieszczańskiej, w wyśnionej Dulcynei widzi jedynie samiczkę. Tymczasem w Ameryce, zwłaszcza dalej ku Zachodowi, zgoła inne czynniki złożyły się na ową grzeczność. Wprawdzie żywioł czysto płciowy również odgrywa pewną rolę, ale nie wyłączną. Bret Hartd wybornie opisał zarodki tej uprzejmości w obozach i pierwszych osadach Kalifornii: kobieta, zjawiająca się wśród kilkudziesięciu mężczyzn, odrazu stawała się poskromicielką ich rubaszności, łagodziła grubiaństwo, uśmierzała dzikie orgie. Takie przyczyny, chociaż nie w takim stopniu, działały wszędzie na lądzie amerykańskim. Ale do tych czynników, nawskróś samczej natury, dołączyły się jeszcze inne. Kultura amerykańska wyrosła z osady włościańskiej, tam zaś kobieta pracuje na równi z mężczyzną, doznawała zawsze większego względnie szacunku, bo aż nader często wodziła rej w domu. Warunki zarobkowe spotęgowały w Ameryce jeszcze to stanowisko kobiety, wykształciły jej umysł, nauczyły ją samodzielności, względna zaś nieobfitość sprzyjała utrwaleniu przeszłej spuścizny i wzmocniła zdobycze późniejsze. Uprzejmość względem płci żeńskiej jest haraczem, złożonym jej stanowisku w społeczeństwie.

Tutaj, zdala od Chicago, wciąż spotykamy się z tymi objawami grzeczności. Najstarszy mężczyzna w tramwaju śpieszy ustąpić miejsca niedawnemu podlotkowi. Teraz w hotelu mogę obserwować inne objawy tej grzeczności. Kilku nas zjeżdżało na dół w elewatorze. Weszła jakaś dama, mężczyźni wstali z miejsc i zdjęli kapelusze. Stali z odkrytemi głowami, póki chwilowa towarzyszka nie opuściła nas na drugiem czy pierwszem piętrze. Wtedy wszyscy siedli i nakryli głowy.

Wziąłem pierwszy lepszy wypadek. Takich faktów zdołałbym przytoczyć mnóstwo. Mimochodem wspomnę, że w czytelniach publicznych kobiety zajmują odgrodzony od mężczyzn kącik, wygodniej urządzony, że do restauracyi wchodzą innem wejściem, czyściej utrzymywanem. Źródło tej odrębności — szacunek, lub raczej dbałość o większe wygody dla kobiet.

L. K.

PAMIĘTNIK.

Ścieżka miłosierdzia.

Dobroczynność nasza weszła już na swoje zajęcze ścieżki, któremi chadza corocznie: zanim nadejdzie epoka balów filantropijnych, rozpoczęła się skromniejsza od nich i moralniejsza sprzedaż rabatowa w sklepach na korzyść Osad rolnych. Kupcy pod dozorem delegatek strącają z ceny towarów pewien procent dla owej instytucyi, której opiekunowie wprowadzili nowość — zrzekli się naddatków od kupujących. Reformę tę podyktowała im roztropność. Zauważyli bowiem, że publiczność, przestraszana obowiązkiem nadpłat, przewyższających nieraz cenę nabywanego przedmiotu, zaczęła unikać sklepów z damami i zamiast powiększać zmniejszała odbyt. Niejeden chudopachołek, kupujący herbatę lub papierosy w pewnym składzie, zobaczywszy przez szybę aniołów Towarzystwa Osad rolnych, których kwestującemu spojrzeniu nie mógłby się oprzeć, wolał zwrócić się gdzieindziej. Sami kupcy, przekonawszy się o tem, poprosili o zniesienie naddatków. Kto wie, czy ta zmiana nie da filantropom lepszych rezultatów. Kieszeń bowiem nasza chciałaby być po dawnemu hojną, ale schudła. Dziś najwięcej czcicieli posiada taniość. Ten tylko może liczyć na zbyt szeroki, kto sprzedaje tanie książki, tanie perkale, płótna, buty, owoce itd. Szczuplejo coraz bardziej ta gromadka, której rubel nie obchodzi a natomiast rozszerza się ta, która dla kopiejki miłość uczuwa. Ale jak są czarodzieje, którzy grając na fleciku, umieją ze wsi wyprowadzić wszystkie szczury, tak są czarodzieje, którzy umieją wywabiać z naszych kieszeni ruble i kopiejki. Znamy ich fleciki, którym melodyj dostarczają Strauss i Lewandowski. Przy sposobności: czy nie byłoby pożytecznem, ażeby w każdym sklepie, urządzającym sprzedaż rabatową od pewnej do pewnej godziny grała muzyczka i ażeby można było troszeczkę potańczyć? Wtedy Osady rolne zbogaciłyby się szybko.

Pomnik Chopina.

W kilka tygodni francuzi zebrali na pomnik dla Gounoda 90,000 fr.; w kilka lat my zebraliśmy... komisyę, która ma się zająć wystawieniem pomnika Chopinowi w Żelazowej Woli. Wprawdzie co innego my, a co innego Francya, ale już Chopin ze spuszczonemi oczami przed Gounodem stać nie potrzebuje i setek tysięcy franków od nas nie wymaga. Nawet pisma ruskie przed paru miesiącami żartowały z naszego żółwiego pośpiechu w tej sprawie. No, ale wreszcie mamy już komisyę, która rozpoczęła posiedzenia i podzieliła się na sekcye: 1) dobrych chęci, 2) wzniosłych zamiarów i 3) majówek w Żelazowej Woli. Wszystkie one są bardzo potrzebne, wszakże zdaniem naszem najniezbędniejsza byłaby czwarta—balowa. Bo o tem, ażeby można było zebrać fundusz na pomnik dla Chopina bez balu, rautu, tomboli a bodaj żywych obrazów, nikt chyba nie marzy. Gdyby każdy męczyciel, a zwłaszcza męczycielka mazurków i nocturnów nieśmiertelnego muzyka dała 5 kop., wystawilibyśmy mu ogromny posąg; wątpimy jednak, czy wielbiciele i wielbicielki zechcą się dobrowolnie opodatkować nawet w tak skromnej mierze. Inna sprawa z balem lub od biedy (gorszy rodzaj zabawy) z koncertem. Tu łatwiej zdobyć się na ofiarę, gdyż za rubla można pokazać nową suknię — rozumiecie — nową suknię! Pesymistom nasuwają się tu zapewne uwagi i pytania wątrobiane, które zawsze niecierpliwią i gniewają ludzi praktycznych. Mianowicie: jaką właściwie wartość ma dla masy geniusz? jak należy pojmować jego chwałę i składane mu hołdy językiem? czy on rzeczywiście zawiązuje jakąś nić sympatyi między sobą a sercem filisterskiego tłumu, obojętnego na wszystko, prócz własnej wygody? Są to — jak rzekliśmy — pytania, które nie powinny napastować porządnej głowy, i dla tego ich dalej nie rozwijamy w uroczystej chwili „rozmyślań" o pomniku dla Chopina.

Towarzystwo łyżwiarskie.

Pod względem stowarzyszania się dla rozrywki, czyli — mówiąc po warszawsku — dla sportu oraz w celach społeczno-naukowych niewątpliwie posunęliśmy się w ostatnich latach znacznie. Towarzystwa: wioślarskie, cyklistów, subjektów handlowych, jedwabnicze, ogrodnicze, homeopatyczne, śpiewackie (Lutnia) — wszystko to są nabytki świeżej daty. Korporacye te mają niejednakową ważność i objawiają niejednakową energię, ale nawet najmniej pożyteczne są bardzo pocieszającymi objajawami naszego życia. W nich ludzie łączą się w pewne trwałe związki, myślą o czemś lepszem, niż o „zabijaniu czasu" a jeżeli nawet bawią się, to w sposób rozumniejszy i zdrowszy, nie gra w winta lub nocne pląsy w dusznych salonach. W ubiegłym tygodniu przybyło nam Towarzystwo łyżwiarskie, które wybrało już sobie prezesa (p. F. Olszewskiego), ułożyło regulamin i rozpoczęło... werbować członków. Stowarzyszenie, którego działalność ogranicza się do kilkunastu lub kilku tygodni w roku podczas trwania lodu i do jakiejś ślizgawki w mieście, ma chyba najmniejszy zakres czynności i najskromniejsze zadania, jakie można sobie wyobrazić. Mimo to witamy je przyjaźnie. Gdyby ono nic więcej nie zdziałało, tylko dało im trochę zdrowia, już należałoby mu przyznać wpływ dodatni.

Zagadka.

Tygodnik ilustrowany przedstawił w rysunkach ładne wyroby gliniane wieśniaka z Magendy pod Rembertowem, znajdujące się na wystawie etnograficznej. Fejletonista tego pisma dołączył do wizerunków kilka uwag, wysławiających talent domorosłego artysty i szydzących z naszej obojętności dla tworów geniuszu swojskiego. Wszystko w tej apologii jest niewątpliwą prawdą: miski i dzbanki są piękne, wieśniak z Magendy — wielce utalentowany, publiczność nasza — obojętna, tylko nieprawdą jest jeden szczegół, mianowicie że wyroby te... istnieją — przynajmniej na wystawie etnograficznej. Ktoś, zaciekawiony pochwałami *Tygodnika,* poszedł je obejrzeć i nietylko ich nie znalazł, ale otrzymał objaśnienie, że wcale tam nie były. W każdym innym czasie nie moglibyśmy pojąć, jakim sposobem *Tygodnik* zdołał widzieć i podziwiać to, czego nie ma; ale w chwili pobytu u nas Eusapii, której czarodziejstwo na tem właśnie polega, że ludzie widzą rzeczy i osoby nieistniejące, jego złudzenie jest dla nas zrozumiałem i usprawiedliwionem.

Niknąca tradycya.

Człowiek tak łatwo oswaja się ze wszystkiem, że jeżeli nawet brudasa umyją przymusowo, uważa on to za barbarzyński gwałt, dokonany na jego osobie. Więc i my przyzwyczailiśmy się do tego, że ludne i ruchliwe ulice Warszawy były torem wyścigów dla powozów prywatnych i dorożek a nawet fur chłopskich i że nas codziennie przejeżdżano. Za dobrych a niedawnych jeszcze czasów starzec, kaleka, dziecko, wszyscy, którzy nie mogli prędko „zbierać nóg," musieli dobrze upewnić się w obu kierunkach, że nikt nie jedzie, zanim przeszli ulicę. Ale od wypadków nie zabezpieczały ani nogi, ani wzrok, ani ostrożność, gdyż każdej chwili mogły z bramy wypaść konie i stratować przechodnia. Warszawiacy, podróżujący za granicą, dziwili się, że tam tłumy krążą środkiem ulic między powozami, mimo to o przejechaniach słychać bardzo rzadko. Godziliśmy się jednak z losem, a zwłaszcza z tak zwaną „jazdą kawalerską," uważając ją zazwyczaj narodowy. Nareszcie surowymi przepisami i karami zaczęto powstrzymywać uliczne wyścigi — i oto wymowny rezultat statystyczny: w r. 1889 było przejechań 382, w 1890 — 256, w 1891 — 214, w 1892 — 168, w obecnym dotychczas 115. „Jazda kawalerska" dorożkarzów traciła swoje wawrzyny w następującym szeregu: 149, 107, 86, 56, 51. Sto ludzkich rąk, nóg, żeber, które nie zostały połamane, a może połowa ocalonych od śmierci rocznie — to chyba rezultat pomyślny. A kto wie, czy on jeszcze się nie poprawi! Doprawdy mają powód uronić łzę żalu za dawnym szykiem półgłówki, którzy „rozbijali się" po ulicach dorożkami kosztem życia przechodniów.

Cuda.

Eusapia włada umysłami tak niepodzielnie, że wyrugowała myśl o wszystkich innych przedmiotach. Rozumie się, jest władczynią umysłów i serc nielicznego grona wybranych, tworzących towarzystwo warszawskie. Nawet nieszczęśliwa Litka, którą Sienkiewicz tak bezlitośnie uśmiercił w powieści przed kilku tygodniami, musiała ustąpić miejsca niebezpiecznej rywalce i te czułe dusze, które zamierzały na dni kilka przywdziać żałobę po zgonie swojej małej bohaterki, nawet one przylgnęły całą swoją istotą do tajemniczej włoszki. Co ona jada i o czem mówi, w jaki sposób powłoczy wzrokiem i czy posiada postać anielską, o takich tematach toczy się rozmowa. A nie sądzimy, aby to była czcza paplanina. O nie! Głosy zniżają się, jak gdyby mowa była o jakiejś świętości; dreszcz nerwowy przebiega po ciele i łechce wszystkie organa. Naturalnie, cały urok neapolitanki polega właśnie na wzbudzaniu tego dreszczu, na uroku tajemniczości i niespodzianek. Co jest prawdą a co zmyśleniem w czynach Eusapii, o tem nie mówimy, gdyż ich nie widzieliśmy i nie sprawdzaliśmy. Możliwem jest, że organizm jej wywołuje pewne wpływy, bo przecie arena przyrody jest tak obszerną; w każdym jednak razie byłyby to wpływy czysto przyrodzone, nie zaś jakieś cuda. Ale nie o to idzie rozgorączkowanej wyobraźni histerycznego głodu mózgowego. Jej zależy jedynie na tajemniczości, na owem nerwowem wtrząśnieniu. Cała zdawkowość blagierskiej wszechwiedzy wypływa tu na jaw. Osoby, które jeszcze wczoraj chlubiły się ze swego pozytywnego poglądu na świat, dzisiaj gotowe są uwierzyć w możliwe brednie i mistycyzmy. Naturalnie, ku pomocy przywoływany bywa sceptycyzm, nie ów zdrowy, który każe naprzód zbadać rzecz, ale oportunistyczny, lękający się mieć jakiekolwiek zdanie, flirtujący z pojęciami i prawami przyrody. Nawet prawo przyczynowości zostaje poddane w wątpliwość... *L.*

Parowóz i furmanka.

Znane są fakty współzawodniczenia furmanek z kolejami żelaznemi na małych przestrzeniach. Obecnie atoli przybywają nowe, o wiele ciekawsze od poprzednich: Z za Siedlec na targi tygodniowe do Warszawy włościanie przywożą owies furami. Czy się to im opłaca, nie wiemy i można byłoby taki sposób komunikacyi na przestrzeni przeszło stowiorstowej złożyć na karb niepraktyczności chłopskiej. Ale że to musi być niezły interes, dowodzi inny przykład: *Kur. warsz.* utrzymuje, iż w tych dniach na targu za Żelazną Bramą widziano osiem furmanek parokonnych, przyprowadzonych aż z pod Bielska (gub. grodzieńskiej) z produktami spożywczymi. W drogę powrotną wozy zabierają machiny rolnicze dla jednego z zakładów ta m

tejszych. Bielsk jest ważną stacyą kolei Południowo-Zachodnich na linii Kijów-Prostki (granica pruska). Towary z tamtąd mogą iść z przeładowaniem w Białymstoku (kol. Petersburskiej) do Warszawy. Komunikacya zatem dogodna a cała przestrzeń wynosi aż 207 wiorst (45 do Białegostoku, a z tego 162 do st. Praga). Przedsiębiorcy jednak musieli dokładnie obliczyć stawki taryfowe i na mocy tego rachunku przyszli do przekonania, że im taniej wyniesie posłać ośm furmanek, utrzymać w drodze kilku robotników i szesnaście koni. Inaczej — krok ten można byłoby nazwać szaleństwem. Niektórzy przedstawiciele dróg żelaznych narzekają na ten znamienny stan rzeczy i podobno mają nawet przedsięwziąć odpowiednie kroki dla pokonania swych współzawodników, posługujących się częstokroć wychudzonemi szkapami. Przyszłoby to bardzo łatwo tak potężnym i zasobnym instytucyom komunikacyjnym, gdyby tylko zechciały rzetelnie ocenić własną korzyść z udogodnień transportowych i taryfowych. Jeżeli te ostatnie nie zależą od pojedynczych gospodarstw kolejowych to już całkowicie jest w ich mocy przyśpieszenie dostawy. Przy obecnych systemach i porządkach interesanci czasem wolą się posługiwać furmankami nie tylko ze względu na taniość, ale i na szybkość dowozu. *—ir.*

Zawiedzione oczekiwania.

Gdy przedstawiono sekcyi rzemieślniczej sześć pytań do rozwiązania (patrz nr. 48 *Prawdy*), oczekiwaliśmy nowych wyjaśnień, nowych wskazówek, któreby rzecz rozświetliły i wynalazły podstawy do uregulowania wzajemnych stosunków majstrów, czeladników i uczniów. Tymczasem na zeszłotygodniowem posiedzeniu specyalna komisya przedstawiła projekt odpowiedzi, stanowiący kilkanaście punktów ustawy z r. 1816, przerobionej w r. 1886. Wypisy te sekcya po pewnych sporach przyjęła. Zatem rajcowie raczyli dzisiaj uznać to, nad czem przed laty kilku z wielkim mozołem pracowano i należycie ten trud oceniono. Przypomnijmy: w roku 1884 odział warszawski Tow. popier. ruskiego przem. i hand. zarządził badanie stanu stosunków rzemieślniczych w Królestwie Polskiem, jednocześnie zebrano wskazówki co do usunięcia czynników nieprzyjaznych a wytworzenia pomyślnych dla rzemiosł. Od zgromadzeń rzemieślniczych, grup czeladniczych, pojenczych rękodzielników, fabrykantów i innych osób, nadeszły liczne odpowiedzi, które się dały sformułować w następujących żądaniach: Większe wykształcenie fachowe i ogólne; silniejsza spójnia korporacyjna pomiędzy pracownikami w zakresie rzemiosła; zabezpieczenie bytu rzemieślnika na starość i w razie choroby; dogodniejszy i szybszy wymiar sprawiedliwości w sprawach stosunków wzajemnych pomiędzy rzemieślnikami. Zdaniem delegacyi ówczesnej, żądania powyższe dałyby się urzeczywistnić najłatwiej za pomocą obowiązkowych stowarzyszeń, które dla uniknięcia wyszukiwania i uświęcania nowych form, należałoby oprzeć na istniejących, ale znacznie zreformowanych. „Stan rzemieślniczy — mówił wówczas p. Makowiecki — musi się bronić od rozprzężenia ostatecznego, musi dbać o rozwój swej pomyślności, musi obmyślać środki, któreby go wstrzymały od popadnięcia w szeregi zależnego od wszystkich proletaryatu. Jeżeli zaś środkami tymi mają być: przymus do nauki i przymus do stowarzyszania się, to — można z tem wejść w przymierze...“ Jakoż pod hasłem ogólnej poprawy warunków opracowano projekt reform w przepisach z roku 1816, przejrzano ustawę punkt po punkcie i wprowadzono w niej wiele zmian pożądanych. Między innemi są tam właśnie i wypisane obecnie przez komisyę paragrafy o uczniach. Jeżeli więc sekcya postanowiła tylko przetrawiać owoce swych trudów z przed laty ośmiu — to nie wiele korzyści przyniesie interesowanym. Racyonalne byłoby na podstawie dawnych przepisów obmyślenie nowych, ale najpierw trzeba zbadać dokładnie, o ile te dawne są przestrzegane w praktyce. Ze skarg wiadomo, że majstrowie i czeladnicy zbyt często z niemi się mijają. Otóż, zdaniem naszem, nie teoryę, ale sprawy z życia trzeba brać pod uwagę, tj. nagromadzić tyle danych, ażeby te przedstawiły całokształt warunków istniejących i ułatwiły wynalezienie sposobów usuwania złego. Z ostatnich obrad zasługuje na uwagę jeden tylko szczegół: wyrażone życzenie, ażeby w świadectwach wyzwolinowych (patentach czeladniczych) był oznaczany stopień uzdolnienia na tej zasadzie, iż czeladnik może znać rzemiosło dostatecznie, bardzo dobrze i doskonale. *Zn.*

W DALI.

Opuszczona. W pismach codziennych czytamy ciągle ogłoszenia o potrzebie lekarza w jakiemś mieście lub osadzie. „Okolica ożywiona może zapewnić praktykę dużą.“ Bliższe szczegóły zazwyczaj u „miejscowego aptekarza.“ Jedno z takich wezwań szczególnie często pochodzi z miejscowości Lipsko. Dlaczego ono tak uparcie od lat kilku prześladuje czytelnika? Młody lekarz, który tam chciał szukać szczęścia i po krótkim pobycie wrócił do Warszawy, wyjaśnił nam tajemnicę: „Zakazany kąt! Nie zalecałbym go nawet wrogowi; z daleka wygląda ładnie i ponętnie, z blizka — dusza się otrząsa! Walka z felczerem, tysiące niewygód, zgryzot, nudy piekielne!“ Iluż takich rozczarowanych musiało stamtąd już uciec w ciągu tych kilku lat poszukiwań przez ogłoszenia! Młodym lekarzom „dusza się otrząsa“ i skóra cierpnie na samą myśl o prowincyi; tak się oni zrośli z marzeniem o karyerze w mieście wielkiem, że tylko nędza ostateczna może ich wygnać do zaścianka. Ci, którzy się pogodzili z losem, w znacznej większości wydają jęki rozpaczy na swą niemoc w walce z felczerami. Zjawisko to, trwające już lat dziesiątki, zwróciło uwagę *Kroniki lekarskiej* i wywołało chęć wykrycia tudzież usunięcia przyczyn złego. Na rozesłany kwestyonaryusz odpowiedzi walczących dały wielce charakterystyczny materyał. Ogólna liczba felczerów w Królestwie Polskiem wynosi około dwu tysięcy (tych tylko, którzy mają prawo leczyć). Na jednego lekarza w osadach i małych miasteczkach przypada średnio 2—2,5 felczerów, w wielu zaś miejscowościach są oni jedynymi stróżami zdrowia publicznego. Ogółem liczba felczerów wraz z niezapisanymi w sprawozdaniach urzędowych, ma podobno sięgać 3,500 w całem Królestwie. A oto fakt przewagi wrogów medycyny: W jednym powiecie (1891 r.) było chorych około 16,000 (na 119,000 ludności), z tych poddało się kuracyi pięciu lekarzy 5,251, reszta pozostawała pod opieką 26 felczerów, przytem znaczny procent pacyentów lekarzy korzystał poprzednio z pomocy felczerów. Bardzo mało z tych ostatnich skończyło szkołę specyalną i odbyło praktykę w szpitalach; ci pracują w miastach. Większość — to prości uczniowie felczerscy lub cyrulicy, golibrody, ex-posługacze szpitalni, synowie byłych felczerów, przysposobieni przez swych ojców itd. To jest właśnie ta silna, niepokonana, sprzymierzona z aptekarzami armia, przed którą lekarze idą w rozsypkę.

Skargi w odpowiedziach na kwestyonaryusz są wprost naiwne, nieprzynoszące zaszczytu patentowanym znawcom medycyny. Narzekają oni np. na tego rodzaju współzawodnictwo, że felczer stara się ubiorem (kapeluszem, paltotem, okularami) upodobnić do lekarza! Najprostszy cyrulik bez żadnego wykształcenia zdobywa środkami niegodziwymi bezwzględne zaufanie tłumów ciemnych, jakiego lekarz przy wielkim zasobie inteligencyi i wiedzy zdobyć nie potrafi. Nic tu nie pomoże ani żądanie zniesienia szkół felczerskich, ani nacisk administracyjny, dopóki lekarze nie staną się cząstką duszy tej opuszczonej prowincyi. Przez kilkoletni pobyt w mieście dla nauki nabierają oni niezgodnych z warunkami zaścianka nawyknień i szerokich wymagań towarzyskich. Chęć wyjawiania wytworności, lekceważenie „prostaków,“ to jest mur silny, którym lekarze samochcąc się oddzielają od mas pacyentów. Najwięcej się skarżą lekarze młodzi, nowicyusze. Ci zaś, którzy zdołali się przystosować do warunków—mają szeroką praktykę i uznanie, przed którem pierzcha największa siła felczerska. Nie leży na ich mózgach ciężkiem brzemieniem jałowość i zacofanie prowincyi, poziom ich inteligencyi i potrzeb duchowych nie zniża się w zetknięciu z „prostakami.“ To też na „jedynego pocieszyciela“ — winta, nie mają oni czasu, nudy ich nie dręczą, bo praktyka, a z nią książka, pracownia specyalna i wreszcie najprzyjemniejsza rozrywka — praktyczne kształcenie się w psychologi tłumów, jako podścielisku powodzenia w zawodzie — zapełniają po brzegi jego życie na prowincyi. Takich lekarzy znamy osobiście i ci z politowaniem patrzą na kapitulujących przed potęgą felczerską. Jeszcze jeden czynnik, wpływający na rozrost tej ostatniej: nieprzystępność i brak poczucia obowiązku (na szczęście nie jest to regułą). W tych dniach pisma zaznaczyły wyrok sądowy, skazujący lekarza z Góry Kalwaryi na dwa dni aresztu i 10 rs. grzywny za to, iż wzywany przez akuszerkę do niebezpiecznie chorej, odmówił pomocy i powtórnie zaatakowany przybył do pacyentki dopiero po jej śmierci. Jest to także źródło niepowodzenia lekarzy niesumiennych.

Takie samo zjawisko daje się spostrzegać w świecie prawniczym. Młodzi adwokaci uważają za ubliżenie osiąść na prowincyi i tam walczyć z pokątnem doradztwem. Wolą brać najpośledniejsze drobne sprawki w Warszawie i zadawalać się chociażby rublowem honoraryum. O patentowanych obrońcach prowincyonalnych nieraz się daje słyszeć zdanie, iż są zbyt wielkimi panami, że zrażają i onieśmielają drobną klientelę, która wpada w ręce adwokatów szynkowych. Mieszkańcy Tykocina za pośrednictwem prasy narzekają na brak prawnika i uciekanie się z konieczności do oszustów pokątnych. Kandydaci, którym nie pachnie wielkie mecenasostwo w Warszawie, mogą zasięgnąć danych od miejscowego rejenta, p. Domańskiego.

Niech przedstawiciele medycyny i prawa wejrzą głębiej w zaścianek, niech zrobią ofiarę z czczych potrzeb towarzyskich i próżności, a przekonają się, że ta opuszczona przez nich prowincya przedstawia szerokie i zasobne pole do pracy produkcyjnej. *Drogomir.*

Łódź. Zbliżanie się sezonu obudziło ruch w świecie przemysłowo-handlowym. Z Moskwy przyjeżdżają kupcy, wielcy hurtownicy, którzy czynią znaczne zamówienia. Ożywienie towarowe również wzmogło się na kolei, skutkiem czego postanowiono zamiast pierwotnego zamiaru zwiększenia liczby magazynów, spotęgować pracę urzędników (służby ruchu i ekspedycyi). Obarczeni większą ilością godzin otrzymają podwyżkę, a co zyska na tem kolej! Budowa nowych pomieszczeń i to dokonywana w pośpiechu, pochłonęłaby takie sumy, od jakich umiarkowane odsetki nie przewyższyłyby z pewnością i połowy tych dodatków za pomnożenie godzin pracy. Zarząd kolei Łódzkiej jest dobrym rachmistrzem. — Nowa odnoga Rostowsko-Władykaukazka wielce zainteresowała wytwórców tu-

tejszych. Linia ta bowiem będzie miała doniosłe znaczenie dla handlu, jako przyczyniająca się do uproszczenia komunikacyi. Pietrowsk, do którego wzmiankowana odnoga dochodzi, jest portem morza Kaspijskiego, dokąd obecnie marszruta uproszczona tak się przedstawia: koleje: Łódzka, Wiedeńska, Terespolska, Poleska przez Pińsk do Homla, dalej Libawska przez Bachmacz, wreszcie Worożbę, Charków, Rostów, Władykaukaz do Pietrowska. W tym kierunku transport unika przeładowania na drogę wodną (z wyjątkiem m. Kaspijskiego), a więc znikają koszty portowe, asekuracyi na morzu, wreszcie interesowani zyskują terminowość dostawy. Kolej Rostowsko-Władykaukazka otworzyła już swoją agenturę handlową w Warszawie z filią w Łodzi dla zjednywania transportów w powyższym kierunku. Specyalne taryfy (niższe, niżeli przez Odesę i Carycyn) już ogłoszono.

Geszeft nie przeszkadza łodzianom bawić się, zachwycać się muzyką Reisenauera oraz grą p. Marcellówny. Natomiast w dziedzinie wydawniczej panuje spokój. No, nie bezwzględny. Ukazały się dwa kalendarze ścienne, wkrótce zaś wyjdzie z pod prasy *Łodzianka*, kalendarzyk humorystyczny i *Łodzianin*. Wreszcie ma się ukazać *Rocznik łódzki*.

Oprócz *Łodzinskiego Listka* wychodzić będzie w Łodzi jeszcze jedno pismo ruskie p. t. *Łodzinskaja Gazeta*, pod redakcyą p. Pietrowa.

Moskwa. Miejscowe Towarzystwo rolnicze, które w r. 1895 obchodzić będzie 75-tą rocznicę swego istnienia, zwoła z tego powodu ogólny wszechruski zjazd rolników tudzież urządzi wystawę rolniczą. Wedle programu, już naszkicowanego, zjazd zajmie się pierwszorzędną sprawą wykształcenia wyższego, średniego i niższego dla ziemian.

Przed kilku tygodniami na scenę teatru moskiewskiego weszła konkursowa komedya Bałuckiego *Flirt* „w przeróbce“ p. E. Babeckiego. Krytyka bardzo przychylnie utwór ten przyjęła, ale jednocześnie zaznaczyła, że w „przeróbce“ wiele on ucierpiał. Publiczność atoli będzie miała sposobność zapoznać się z nim w ścisłym przekładzie p. Sadowskiego.

Zmarły w Paryżu ks. Manuk-Bej zapisał na rzecz instytutu Łazarewskiego języków wschodnich w Moskwie olbrzymie dobra swoje, położone na południu i przedstawiające wartość przeszło 100,000 rs. Instytut tak hojnie obdarzony posiada dwa oddziały: jeden z kursem gimnazyalnym, drugi z wyższym programem. Wychowańcy słuchają niektórych przedmiotów razem ze studentami uniwersytetu, głównie zaś uczą się języków wschodnich. Po ukończeniu studyów otrzymują posady w ambasadach i poselstwach wschodnich. Między innymi kształci się w tym zakładzie kilku polaków.

Mińsk. Dotychczas dla olbrzymich obszarów kraju północno-zachodniego służy jedno tylko Towarzystwo rolnicze. Wilno, Kowno i Grodno instytucyi takiej wcale nie posiadają. Prezes Towarzystwa, p. Pawłow, zwrócił na to uwagę i stara się o nadanie szerszej działalności temu ognisku spraw ziemiańskich. W razie więc rozgałęzienia zadań zmieni ono nazwę na Towarzystwo rolnicze kraju północno-zachodniego. P. Aleksander Jelski, najczynniejszy korespondent z gub. mińskiej, w jednym ze swoich listów zaznaczył fakt, iż w ostatnich latach władza chętnie się posługuje siłą moralną obywatelstwa i powierza mu różne czynności honorowe (sędziów, kuratorów sanitarnych itd.). Niedawno zaś rozesłano niektórym właścicielom ziemskim mianowania na dozorców w obrębie gmin, w zakresie ścisłego wypełniania Najwyższej ustawy o polowaniu (z d. 3 lutego 1893 r.).

Dla całego kraju północno-zachodniego wielkie będzie miała znaczenie szkoła rolniczo-techniczna w Wilnie, która powstanie w połowie roku przyszłego. Specyalnej komisyi w tej sprawie przewodniczy kurator okręgu naukowego wileńskiego. Na rzecz zakładu miasto ofiarowało dom, znaczną przestrzeń gruntu na fermę doświadczalną, tudzież 4,000 rs. rocznie, jako zasiłek. Ziemianie z gub. wileńskiej złożyli rs. 17,450. Skarb państwa na utrzymanie szkoły przeznacza 23,776 rs. rocznie. Uczniowie, oprócz gospodarstwa rolnego, będą się uczyli ogrodnictwa i sadownictwa. W pierwszym roku postanowiono przyjąć 150 uczniów.

Tobolsk. W całej gubernii zamieszkuje 6,914 polaków. Zamożnych niewielu. Większość zajmuje się drobnym handlem, pracuje w zakładach przemysłowych, wreszcie zajmuje posady rządowe. W handlu są rzetelnii, w rolnictwie zaszczepili pewien postęp, pierwsi zaczęli sadzić kartofle, których tam nie znano wcale; ulepszyli niektóre gałęzie przemysłu. W samym Tobolsku mieszka ich 400 (niektórzy pracują w dziedzinie urzędniczej).

Ministeryum dóbr państwa rozmierzyło już na Syberyi przeszło 500,000 dziesięcin gruntów i na nich ma osadzić przesiedleńców z gubernij południowo i północno-zachodnich. Przesiedlanie zacznie się wtedy, gdy dokładnie będzie określona potrzeba robotnika przy budowie kolei Syberyjskiej. Nie wszystkie atoli grunty rozdane będą ludności napływowej. Rząd ma na względzie przyszły przyrost mieszkańców.

O PRAWDĘ.

Po raz ostatni o „Dyable w poezyi“

(w odpowiedzi p. Cezaremu Jellencie).

Gdybym chciał szczegółowo odpierać zarzuty kol. Jellenty, musiałbym znowu napisać duży artykuł. Ze względu na Redakcyę *Prawdy*, której gościnności nadużywać nie śmiem, wolę tego nie czynić. Książka moja od pierwszej chwili jest niejako *za nawiasem*; idzie nam o rzeczy ogólne, poprzestanę więc tymczasem na kilkudziesięciu wierszach, zaznaczając tylko, że zasadniczej stronie kwestyi poświęcę później osobne studyum, w którem postaram się rozpatrzyć z szerszego stanowiska poruszone przez p. Jellentę pytanie: *czy i na jakim fajerwerku filozoficznym można zajechać na Parnas?* Teraz zanotuję tylko, że, jeżeli ktoś lekceważy przedmowy *osobiste* autorów, ten powinien mieć *więcej* skrupułów w wyciąganiu wniosków o ich poglądach z tego, co mówi nie *sam* poeta, lecz *stworzone* przez niego *postacie*; wedle tej metody bowiem możnaby łatwo twórcę „Hamleta“ *utożsamić* z Shylokiem, albo Falstafem! Szatan Miltona mówi, jak *szatan*, bo *musi* tak mówić, czy mówi jednak *jak Milton*, „namiętny stronnik czystej Biblii“?, to wielka kwestya, a przecież o to głównie idzie! Właściwie mówiąc, nie ma tu żadnej kwestyi, autor bowiem, który w pierwszej pieśni „Raju utraconego,“ zwracając się do *Boga*, woła z *pokorą*:

I Ty, *Duchu niebieski! światło wiekuiste!*
Co nad wszystkie kościoły wolisz serce czyste,
Ty rzuć na *duszę moją* Twe *boskie* promienie,
Bo przed *Tobą najgrubsze niknąć muszą cienie* itp.

poeta, który, mówiąc w *swojem* imieniu, nie szczędzi szatanowi *niepochlebnych* epitetów, który *sam* powiada (R. of Ch. G., wstęp), że zadaniem poezyi jest: *„wysławiać wzniosłymi i przenikającymi śpiewami tron i wspaniałość wszechmocnego Boga“* *) — i ten poeta miałby *„strącać* Jehowę z wyżyn“? Nie wiem, czy to nieporozumienie, czy żarty? Niech to osądzą specyaliści, których będę widać zmuszony o rozpatrzenie całej tej sprawy poprosić. Szan. kolega bowiem powie znowu, że fakty takie tylko „umacniają“ jego hipotezy, i tak będzie bez końca. Jeżeli utożsamiamy Miltona z szatanem, czemuż nie mamy identyfikować go z Ewą, Adamem itd.? A Byron, który pisał w swoim dzienniczku (1822 — *Kain* powstał w 1821!): „Nie wiem, kogo bardziej *nienawidzę*, czy zuchwałego, potępiającego bigota, czy zuchwałego, unicestwiającego *niedowiarka!?*“ Czyż to nie trąci troszkę deizmem? *).

*) Por. Hettner „Historya literatury angielskiej,“ Warszawa, 1879, str. 44, w. 21 (od góry) i nast.; por. tamże, co mówi ten znakomity i gruntowny znawca piśmiennictwa: „Milton chociaż nie w ściśle kościelnym duchu, przecież głęboko religijny; patos jego *wyłącznie chrześciański*“ itd., na więcej cytat brak nam miejsca (str. 41).

Szatan Miltona jest przepyszną, pełną konsekwencyi, charakteru i „purytańskiej“ siły kreacyą poetyczną, do której konturów dostarczył poecie, jak twierdzą niektórzy krytycy, Caedmon a może Awitus i Vondel, ci zaś znaleźli wszystkie pierwiastki w cytowanym przeze mnie ustępie z Izajasza o upadku szatana („Wstąpię na niebo, nad gwiazdy boże wywyższę stolicę moją“ itd. por. „Dyabeł w poezyi,“ str. 36). Taki znawca Biblii, jak Milton, znał i ten hymn bezwątpienia. Zresztą, gdyby nawet p. C. Jel. zdołał przekonać (!) kogo, że Milton podchodzi pod prawo o rzekomym związku analizy i pesymizmu z dodatnimi typami szatana, to pozostaje jeszcze *pobożny* Vondel, pełen naiwnej wiary Caedmon (początkowo pasterz, później braciszek klasztorny, *analfabeta* z VII wieku), oraz *święty Biskup*, Awitus (umarł w 525 r. po Chr.). Wszyscy ci poeci chrześciańscy, *wierzący* głęboko w *dobroć* i *sprawiedliwość* Boga, nie pragnący więc wcale „strącać go z wyżyn doskonałości,“ stworzyli jednakże *dodatnie* typy szatana-buntownika. To, co szatan Awitusa mówi do Adama i Ewy, różni się nawet, pod względem istoty rzeczy, bardzo mało od tego, co głoszą heroiczne dyabły późniejszych poetów. (Por. Feliks Clement „Poesie Chretienne depuis IV—XV S., str. 337). Dlaczegóż sz. kolega nie spróbował i tych trzech, *bardzo wybitnych* typów podciągnąć pod swoje prawo? — przecież dwa z nich wymieniłem już w mojej odpowiedzi! Ja nie gardzę syntezą, lecz pragnąłbym, żeby stała ona na *pewnym* gruncie. Talizman „dziurawy“ nie jest talizmanem! *Prawo* jest wtedy tylko *prawem* powszechnem, kiedy objaśnia *wszystkie* zjawiska danej kategoryi, a prócz produktów XIX w. nic pod prawo p. C. J. nie podchodzi, jest więc ono, jak mówiłem, prawem cząstkowem. To, co autor mówi o Indyach, potwierdza moje zarzuty. W Indyach *był pesymizm i analiza*, lecz *nie było dyabła dodatniego*, a więc pomiędzy pesymizmem i analizą z jednej a dyabłem dodatnim z drugiej strony nie ma tak ścisłego związku, żeby — jak to uczynił p. C. J. — podnosić go do godności *prawa*. Wchodzą tu w grę i inne czynniki. Zresztą sz. kolega sam to przyznaje, a zatem kwestya załatwiona. O Arymanie mówiłem, że był *„równy* (naturalnie władzą) Ormuzdowi i *pełen siły*“ (*Prawda*, 1893, str. 574, szp. 3, *wiersz 17*), nie twierdziłem atoli *nigdy* i *nigdzie*, że był *„demonem dodatnim“* **). Skąd się to u p. J. wzięło? Dlaczego sz. kolega *przeinacza* i nicuje moie wyrazy!? Jakiem prawem? Nie wątpię, że stało się to mimo jego wiedzy i woli, ale swoją drogą czytelnicy zostali wprowadzeni w błąd, a ja zostałem skrzywdzony, p. J. bowiem na *przekręconym* epitecie spiętrzył cały szereg złośliwych zarzutów, pozbawionych wszelkiej realnej podstawy, ale wydrukowanych, bądź co bądź, czarno na białem i puszczonych w świat. Można robić zarzuty, nie wolno jednak kłaść w usta przeciwnika absurdów, których nigdy nie powiedział, to bowiem *przekracza już granice... polemiki*. Dzieło Pompeys'a Gener znam i *cytuję* kilkakrotnie pomiędzy innemi źródłami, ale sz. kolega musiał

*) Zob. Spasowicz Pisma t. II, str. 150: „nienawidzę książek religijnych, chociaż *kocham Boga*, ale bez bluźnierczych pojęć sekciarzy i bez 39 artykułów.“ (Raptularzyk Byrona). Czyż to bezbożność? Cf. także co ten autor, znakomity znawca Byrona, w dalszym ciągu mówi o *religijności* autora „Kaina.“

**) Wogóle należałoby się porozumieć co do terminu *dyabeł dodatni*; jest to, ściśle mówiąc, licencya; szatan prawdziwie dodatni bowiem nie byłby już szatanem. Szatan *potężny* przybierał w pewnych wypadkach cechy bogaterskie, które go podnosiły etycznie i robiły typem dodatnim, ale *zawsze i wszędzie*, zanim pojawił się *dodatni* typ szatana, musiał już istnieć dyabeł *potężny, pełen siły*: ostatni był *gruntem*, na którym *wyrastał pierwszy*. Otóż ja napisałem: „Indye nie wydały nietylko *dodatniego*, ale nawet *potężnego* typu dyabła.“ „Persya zaś zrodziła *pełnego siły* Arymana.“ Każdy bezstronny czytelnik zrozumie bieg mojej myśli i to stopniowanie. Iblis jest już młodszą o kilkanaście wieków *modyfikacyą* Arymana. U Byrona ta postać ma tylko imię perskiego Arymana, nic więcej (sic!). Zacytowana więc została bezzasadnie.

chyba tę książkę czytać już bardzo dawno i widocznie pamięć go zawodzi, gdyż Gener — który w „La mort et le diable“ traktował ewolucyę dyabła i śmierci w cywilizacyi — dochodzi do wniosków mających mało wspólności z mojemi, a przeczących niekiedy *wprost* poglądom szan. kolegi *). Nie chcę posądzać sz. kol. o jakieś ukryte cele, ale, dalibóg, nie rozumiem, po co się powołuje na tę książkę? Mam ją w domu, przejrzałem raz jeszcze, lecz ani śladu prawa, o które nam chodzi, tam nie znalazłem.— Co do dualizmu protestanckiego, to ze wszystkiego, co mówię w książce i w polemice, widać, że idzie mi tylko o religię, sz. kolega więc wyszedł, jak to mówią, z „kwestyi.“ Przecież z *religii* czerpali natchnienie wielcy poeci protestantyzmu! Taine'a wspominałem jedynie jako *przykład*, ilustracyę, nie mając na myśli *żadnych* aluzyj osobistych. Najniesłuszniej więc sz. kolega czuje się urażony. Daleki byłem i jestem od rzucania niepochlebnego światła na działalność i zdolności autora prześlicznego studyum o „Matejce,“ które tak dziwnie jest niepodobnem z charakteru do „odpowiedzi“ na „wyjaśnienia.“ Nie szło mi o „kłucie,“ tylko o rozjaśnienie kwestyi. Przyznaję chętnie, że w prawie postawionem przez p. Jellentę nie ma oddźwięku tainowskich teoryj: jeśli już mamy szukać pokrewieństw, bliższem jest ono raczej poglądów Brandesa, który w IV tomie „Prądów“ (str. 354—362) stara się również dowieść w sposób bardzo piękny i wymowny, ale nie zupełnie zgodny — na co mam dowody! — z tekstem poematu, że Lucyfer jest postacią nawskróś prometeiczną.

Dość jednak tego. Brak miejsca zmusza mnie do przerwania tej koleżeńskiej pogawędki z sz. kolegą, który głaszcząc mnie jedną ręką, starał się — zapewne dla równowagi! — drapać mnie drugą, o co zresztą nie mam do niego ani odrobiny żalu. Nie wiem, czy sz. kolega zechce mi jeszcze odpowiadać, ja w każdym razie *kończę* polemikę, która, zdaniem mojem, wtedy tylko prowadzi do celu, jeśli przeciwnicy myślą nie o miłości własnej, lecz o *samej* kwestyi i nie schodzą ani *na chwilę* z *rzeczowego* i ultra lojalnego gruntu. Pojedynek na tępe dyalektyczne florety jest może dla galeryi zabawą, dla walczących atoli nużącem i denerwującem marnowaniem czasu!

Stokroć pożyteczniejszem i przyzwoitszem byłoby oddanie kwestyi spornej, o ile rzecz dotyczy faktów, pod sąd kilku biegłych *rzeczoznawców* i opublikowanie ich motywowanej opinii. Dawno już myślałem o podniesieniu tego projektu w prasie. Zakosztowawszy teraz smaku polemiki, przekonywam się, że dobrze byłoby wprowadzić tę myśl w wykonanie, choćby jako przykład i zachętę dla ogółu piszących.

Ignacy Matuszewski.

**) Autor, doktryner-utylitarysta powiada: „Nous traiterons uniquement du mal dans le sens de ce qui est contraire a l'homme, et a la societé humaine etc.“ Gdzie zaś zawadzi o poezyę, tam wygłasza sądy trywialne. Miltonowskiego szatana np., którego my obaj z kolegą zestawiamy z Prometeuszem, mianuje Gener „generałem angielskim, który protestuje przeciwko koronie, i teologiem, co argumentuje przeciw niebu“ itp. Gdzież tu ślad wpływu na *nasze* sądy, o którym p. J. mówi? Generowi brak wykształcenia estetycznego. To sekciarz-pozytywista, który używa pracowicie zebranych faktów na wykazanie, że wiara w dyabła i w nieśmiertelność duszy — to dwie „negacye życia,“ zrodzone z zabobonu i głupoty ludzkiej. Cóż to ma za związek z zagadką „Dyabła i to dodatniego w poezyi?“ W książce tej jest bardzo dużo cennego materyału ogólno-historycznego, po za tem nie posiada ona głębszej wartości filozoficznej. (Najlepszą jest tam przedmowa Littrego). Zresztą i pod względem czysto faktycznym przewyższa tę książkę sumienne dwutomowe dzieło Roscoffa „Geschichte des Teufels.“

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Kobietom w Turcyi urzędownie otworzono praktykę lekarską, w Londynie zaś miejsca urzędnicze przy Banku angielskim.

— Na mocy porozumienia się ministeryów: spraw wewnętrznych i skarbu, z dodatku przypadającego na rzecz gmin i gromad wiejskich za prawo otwierania we wsiach zakładów ze sprzedażą trunków, połowa będzie przeznaczana na utworzenie straży ogniowych po wsiach.

— Na zasadzie nowej konwencyi, Persya ustępuje Rosyi terytoryum Firenze w Chorasanie wzamian za okrąg Chiserski, wchodzący do obwodu Zakaspijskiego i Abbas-Abbadzki na prawym brzegu Araksu.

— Na zebraniu ogólnem rady państwa przyjęto wniosek ministra spraw wewnętrznych, przemawiający za niepodzielnością uwłaszczonych gruntów włościańskich.

— W gubernii piotrkowskiej sprzedano cztery majątki przy pomocy Banku włościańskiego na rozparcelowanie.

Szkoły. Ministeryum spraw wewnętrznych uznało za stosowne ograniczyć liczbę uczniów-żydów, przyjmowanych przez dentystów, według normy, przyjętej w aptekach (3% w Petersburgu i Moskwie, 5% w innych miastach).

— Ministeryum oświaty rozstrzyga obecnie projekt założenia w Warszawie szkoły handlowej, technicznej i ogrodniczej.

— Wydano rozporządzenie, aby na przyszłość studenci, kończący wydział medyczny w uniwersytecie jurjewskim otrzymywali tytuł lekarza, nie zaś, jak dotychczas, odrazu doktora medycyny.

Sprawy kolejowe. Na kolei Warszawsko-Petersburskiej wejdzie w życie nowa kontrola nocna: aby nie budzić podróżnych, konduktorowie odrywać mają kupony od biletów po zajęciu miejsca. Urzędnik kontrolujący sprawdzi tylko, czy ilość kuponów odpowiada liczbie miejsc zajętych w wagonie.

— Z dn. 1 stycznia na odnodze Bydgoskiej kolei Wiedeńskiej obsadzone będą nowe miejsca telegrafistów 5-ej klasy z płacą roczną 300 rs. i dodatkiem na mieszkanie 75 rs.

Zdrowie publiczne. Departament lekarski zawiadamia, że w razie powtórnego delegowania lekarzy, studentów i felczerów do miejsc dotkniętych epidemią, postanowiono wypłacać na koszt podróży: pierwszym po 300 rs., drugim 150, trzecim 50.

— W ciągu ubiegłego miesiąca na cholerę w Warszawie zachorowało 26 osób, wyłącznie żołnierzy. W ostatnich dniach nie zdarzył się tu żaden wypadek tej epidemii.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Rom. Kasz. Zg. w Mścisł. Listu Pańskiego nie możemy zamieścić, gdyż: 1) ów autor jest autorką, używającą pseudonymu męzkiego, 2) polemika jest napisana tak pośpiesznie i bez koniecznej staranności w formie głosu publicznego, że w wielu jej ustępach skutkiem pominięcia cudzysłowów niepodobna odgadnąć, do kogo należą zawarte w niej zdania.

Mał. And. Redaktor przyjmuje między 1 a 3 w czwartek, piątek i sobotę.

X. X. Innego polskiego nie ma. Co do niemieckich wychodzi wiele, ale dla uniknięcia zawodu niech Pan w jakiejkolwiek księgarni (np. Wendego) zażąda przysłania wszystkich w numerach okazowych. Wtedy wybór będzie najłatwiejszy i najpewniejszy.

D. 7 listopada 1893 roku po ciężkich cierpieniach zmarł Leopold Müller ur. w roku 1815. Radca stanu, kawaler orderów, obywatel miasta Płocka, b. profesor uniwersytetu w Edynburgu, ostatnio nauczyciel gimnazyum męzkiego w Płocku.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 3 Декабря 1893 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.